Nr. 20. Poznań, Niedziela 19go maja 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Niepoprawni.

Ustawa przewrotowa upadła, a nad mogiłą nieboszczki żadne stronnictwo w parlamencie niemieckim nie wylało łzy serdeczniejszej. Zeszła do grobu w akompanjamencie tryumfalnego marszu żywiołów cywilizacyjnych i cichego odgłosu targów zakulisowych. Historya przedśmiertnej walki, którą reakcyjny projekt stoczył w parlamencie, znaną jest bez wątpienia czytelnikom naszym z dokładnych sprawozdań dzienników politycznych, — powtarzać jej zatem nie będziemy. Jest jednak jeden epizod w tym boju, któremu nasze wielkie organy nie poświęciły dotychczas żadnej analizy, a który nie pozostanie bez wpływu na rozwój polityczny życia polskiego, — mówimy o stanowisku „*Koła*“ w parlamencie i jego stosunku do społeczeństwa i stronnictwa centrum.

Jak wiadomo przeprowadziło centrum katolickie w obradach komisyjnych reformę projektu rządowego w tym kierunku, że nadało mu koloryt klerykalniejszy, potęgując wszystkie paragrafy, które zmierzały ku nałożeniu hamulca na swobodę myśli ludzkiej i zatamowaniu wartkiego prądu dążeń humanitarnych. Stępiwszy zdzieniegdzie ostrze społeczno-polityczne rządowej ustawy, ukuło z niej broń przeciw wolności nauki i sztuki, pętając skrzydła ducha ludzkiego i krępując słowo i pióro kajdanami dogmatycznych formułek. Myśl szybującą w tajemniczych przestworach zagadek bytu ludzkiego zamierzano ściągnąć w proch skostniałej reakcyi i w dziedzinie piękna zamiast „miary Fidjasza“ stosować „miarę krawca - filistra.“ Rozluźniwszy — i to niezupełnie — śrubę polityczną, zakręcono śrubę klerykalną tak silnie, że nawet konserwatyści zakamieniali, o pokroju ortodoksyi, ulękli się inkwizycyjnych zakusów i projekt komisyjny odrzucili z wszelką stanowczością. Znalazło się jednak jedno stronnictwo w parlamencie niemieckim, które nie odmówiło pomocy swojej kolumnom reakcyi i niemal bez wyjątku wszystkie paragrafy projektu sporządzonego w fabryce centrum poparło głosami swojemi. Stronnictwem tem jest *Koło polskie.*

Po smutnych doświadczeniach zgromadzonych w latach ostatnich nie łudzimy się nadzieją, aby słowa żalu wysłane pod adresem Koła sprowadziły na inne tory grono posłów naszych, a jeżeli mimo to na tem miejscu zapisujemy protest bolesny, to czynimy to w tym celu, aby w obec swoich i cudzych *w imieniu polskiego społeczeństwa zaboru pruskiego* zaprzeczyć mniemaniu, że Koło nasze w parlamencie jest wyrazem narodowych dążeń i narodowego ducha. Podkreślamy wyrazy „w imieniu społeczeństwa“, bo dzisiaj nie uważamy się wyłącznie za reprezentantów inteligencyi zszeregowanej około „Przeglądu Poznańskiego“, lecz mamy prawo uważać się za wyraz całej opinii publicznej w polskich dzielnicach.

Z wyjątkiem małej grupy „Kuryerowych“ fanatyków stanęły wszystkie czasopisma nasze w opozycyi do rządu i komisyi, a ta jednomyślność całej prasy polskiej, to zwarte „ramię przy ramieniu“ przeciw upiorom reakcyi, ta masowa kontrakcya społeczeństwa naszego była wspaniałą manifestacyą woli narodu i potężnym Imperatywem dla reprezentacyi parlamentarnej. Nadomiar ozwały się poważnym g[illegible] rezolucye poznańskie, potępiające ustawę zarówno w formie rządowej jak w komisyjnej zaprawie, a lubo inne okręgi zaboru pruskiego w strój rezolucyi zbiorowych nie ubrały przekonań swoich, to mimo to z artykułów prasy i z sympatycznego przyjęcia, jakiego poznańskie uchwały doznały w dziennikarstwie poznańskiem, szlązkiem i zachodnio-pruskiem, szedł głos wyrazisty, przenikliwy i czysty, że stolica stała się wyrazem opinii publicznej.

W całem społeczeństwie ozwał się jakiś potężny instynkt opozycyjny, a siła tego instynktu była tak elementarną, że na pamiętnem zebraniu wyborców miasta naszego nawet przedstawiciele tronowego nabożeństwa z obozu „Kuryera“ nie odważyli się ani jednem słowem bronić ustawy — skazańca. Rezolucye zapadły jednomyślnie, niezamącone brzękiem liczmanów lojalnych, — a garstka malkontentów dopiero nazajutrz zdecydowała sie rzucić kamieniem nie na rezolucye, lecz na obrońców rezolucyi.

Zdawało się istotnie, że wobec tak żywiołowej siły protestu posłowie polscy nie ośmielą się lekceważyć woli społeczeństwa, a domysły te znalazły pokarm ożywczy w przemówieniu ks. prałata *Wolszlegiera* i głuchych posłuchach dolatujących nas z „*camera obscura*“ „Koła“ naszego. Niestety zawiodło wszystko i *reprezentacya narodu* zdeptała *wolę narodu.*

Stanowisko „Koła polskiego“ wobec ustawy przewrotowej zasługuje z dwóch względów na szczególną uwagę: 1) Jest ono nowym dowodem, że posłowie zatracili poczucie odpowiedzialności swojej wobec społeczeństwa i prowadząc politykę na własną rękę, zapominają zupełnie, że wotum poselskie powinno być wyrazem opinii, że poseł jest tylko indywidualnem pojęciem rzeszy wyborczej, że nie poseł za siebie, lecz naród mówi przez posła. 2) Koło polskie stargawszy węzły łączące go z społeczeństwem chodzi pokornie w uprzęży centrum katolickiego, strojąc się tylko od czasu do czasu w barwy cesarskie.

To zaprzedanie się duszą i ciałem stronnictwu Niemców katolickich jest sygnaturą całej polityki berlińskiej. Posłowie nasi poszli na służbę ludzi, którzy od dawna zyskali sobie opinią zręcznych handlarzy dyplomatycznych, wyzyskujących wszystko i wszystkich do partyjnych celów. Cała ich działalność mówi niedwuznacznie, że Polacy jako naród nie istnieją dla nich, — istnieją tylko jako wyznawcy wspólnej religii, a chociaż nikt nie zaprzeczy, że katolicyzm w naszych warunkach oddać może społeczeństwu pewne usługi, to przecież po za kościołem jest szeroka dziedzina interesów narodowych i cywilizacyjnych, dla których centrum nie jest sojusznikiem lecz zaciętym wrogiem

Tych interesów zaprzepaszczać nam nie wolno, a ślepa adoracya epigonów Windthorsta wiedzie na mury Watykanu, lecz strąca z murów ojczyzny. Centrum w własnym interesie opuścić nie może katolicyzmu polskiego, wszelka więc ofiara z naszej strony nie jest handlowem „do ut des“ lecz prostą darowizną. Taktycznych motywów, któreby na usprawiedliwienie Koła posłużyć mogły, szukamy naprożno, a w końcu pozostaje jedna tylko pewność, że posłowie nasi zatracili do szczętu trzeźwość i samodzielność polityczną i jak dawniej w chorobliwej ekstazie wierzyli w słońce tronowe, tak dziś konwulsyjnie w poczuciu osamotnienia i własnej bezsiły rzucają się znowu w objęcia centrum, które się uśmiecha, pieści, a w końcu zdusi Polaków.

Stało się! Społeczeństwo polskie pruskiego zaboru stoi wobec faktu, który nastręcza materyał do poważnych rozmyślań i woła głośno, że jest obowiązkiem ludu polskiego a przedewszystkiem inteligencyi przodującej zbudzić się z odrętwienia i wypowiedzieć odważnie sąd o politycznem działaniu reprezentacyi naszej.

Ostrożna taktyka „wielkich organów „świadczy wymownie, że z wyżyn dyplomacyi poznańskiej spadło rozporządzenie, aby całą sprawę milczeniem pogrzebać i apatycznem „*laisser faire*“ wycisnąć stempel legalności na czynach „Niepoprawnych“ naszych. Jest to ulubiona metoda poznańskich sterników, wobec której społeczeństwo rzadko tylko zdobywa się na akt samodzielnej opozycyi. Ten brak inicyatywy, ta senna, bezduszna atmosfera kraju naszego rozzuchwaliła reprezentantów polskich w parla-

mencie i zakulisowych reżyserów dyplomacyi poznańskiej.

Gdyby społeczeństwo nie tylko czuło opozycyę, lecz zerwało się do czynu, nie bylibyśmy dzisiaj w przykrem położeniu, aby na mogilniku ustawy przewrotowej taki wyryć napis: *„Polscy posłowie przestali reprezentować opinię polskiego narodu!“*



Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„Gazeta Grudziądzka“ pisze w Nr. 55:

Związek przyjaciół psów. Związek taki istnieje w Bydgoszczy i liczy już blizko 200 członków. Na walnem zgromadzeniu uznano wielkie usługi, jakie wyświadczył światu zwierzęcemu baron Zedlitz i obrano go jednomyślnie członkiem honorowym stowarzyszenia. Ogłosiły to pisma niemieckie, podnosząc ludzkość ludzi. I my uznajemy w tem ludzkość, gdy ludzie upominają się o krzywdy czworonożnych, które same sobie wymierzyć nie mogą sprawiedliwości, lecz oby się ta ludzkość nie skończyła na zwierzętach. Oby w narodzie niemieckim nie rządzono się zasadą dzikiego Suworowa, pogromcy Pragi nadwiślnej, który pomordowawszy niewinnie tysiące istot bezbronnych, znalazł w swem okrutnem sercu współczucie tylko dla ranionego indyka i tego w lazarecie leczyć kazał. Dziś jeszcze przypuszczamy, że ci z Niemców, którzy nie mogą cierpieć krzywdy nawet zwierząt, tem mniej należeć będą do związku mającego na celu wygładzenie ludzi, lecz czasy zaczynają być straszne i mimowoli przypomina się historya Suworowa. Czyż odzywają się bowiem w Poznańskiem lub tu w Prusach Zachodnich zbiorowe głosy niemieckie przeciwko niecnej hecy antypolskiej? Czy upomnieli się Niemcy o krzywdy ludu żyjącego, mającego prawa do istnienia jako naród, który słynna spółka chce doprowadzić do zguby? Wszak znajdują się już tacy, co chlubią się z należenia do K.H.T, zatem z haseł nieludzkich, zachęcających do wytępienia ludzi zrodzonych Polakami. „Usuńcie się, bo my musimy wejść na miejsce wasze“, powiadają nam ciągle jak najwyraźniej, dla tego sprowadzają lekarzy, przemysłowców i ludzi wszelkiego zawodu narodowości niemieckiej, aby Polacy powymierali z głodu i w ten sposób usunęli się jak najprędzej. To także skazanie na śmierć, śmierć gorszą niż w krwawej walce, bo obmyślaną potajemnie, a dokonaną podstępnie. Jeżeli w narodzie niemieckim znajdą się liczne zastępy naśladowców tego żelaznego męża, który kochał psa (Reichshund), a równocześnie wydał wyrok śmierci na miliony ludzi, to zaiste kultura niemiecka uczyniła zwrot wsteczny ku cywilizacyi krwawego okrutnika Suworowa. Biada kulturze, która takie wydaje okazy przy schyłku 19go stulecia i nie czuje nawet upadku w tym powrocie do barbarzyństwa!

Głośny artykuł „Przeglądu Poznańskiego“ p. t. „John Murray u Bismarka“, zamieszczony w Nr. 17. powtórzyło wiele pism polskich na Szlązku, w Prusach Zachodnich i w W. Ks. Poznańskiem. Redakcya nasza otrzymała mnóstwo listów w tej sprawie, zawierających gorące słowa uznania za publikacyą gorzkiej, ale zdrowej prawdy dla społeczeństwa polskiego. W samem mieście Poznaniu artykuł wywołał niezwykłą sensacyę.

„Goniec Wielkopolski“ rozpisuje się w nr. 110 nad pogrzebem ustawy przewrotowej i takie w sprawie Koła polskiego wypowiada opinie:

„Koło polskie głosowało de facto za ustawą przewrotową i poniosło klęskę. Znowu straciliśmy cząstkę uroku i powagi, jakie nam wobec Niemców przystoją — znowu powiększył się rozdział między społeczeństwem a Kołem parlamentarnem w obecnym składzie jego większości.

Koło polskie dostało zasłużoną naukę; na przyszłość niechaj mniej bawi się w dyplomacyą, niechaj okaże więcej łączności ze swymi wyborcami i więcej hartu, a niechaj nie schodzi ze stanowiska zasadniczego, bo to prowadzi na manowce.“

Jak wiadomo zaprzeczyła reprezentacya polska w parlamencie urzędowo twierdzeniu „Kuryera Pozn.“, *że p. dr. Krzymiński na posiedzenia Koła nie uczęszcza*, więc nie ma prawa w sprawach politycznych ogłaszać listu otwartego do wyborców swoich. Z powodu tego zamieścił „Orędownik“ w nr. 110 następujące uwagi:

„Oświadczenie Koła jest krótkie i skromne, ale mimo to piętnuje sposób, w jaki się „organ duchowieństwa“ obchodzi z posłem, jeżeli mu ten poseł jest niesympatyczny. Oświadczenie to piętnuje dosadnio sposób walki z przeciwnikami politycznymi pisma, które się narzuca publiczności naszej jako „organ“ duchowieństwa naszego, które głosi publicznie, że sobie wzięło za najważniejsze zadanie — krzewienie zasad chrześciańskich i podtrzymywanie w narodzie miłości i zgody.

Co za ironia — jak na „organ duchowieństwa!“

Organ ten — z wiedzą — stara się oszczerstwami obrzucać niewygodnego posła i ażeby sobie włożyć koronę bezczelności, dodaje do urzędowego oświadczenia Koła dopisek: „prosimy o statystykę!“

Pan dr. Krzymiński ogłoszenia statystyki z pewnością obawiać się nie potrzebuje, ale jakby wobec „statystyki“ wyglądały niektóre podpory „Kuryera“ w Kole?

„Kuryer“ wie o tem wszystkiem doskonale, ale w bezczelności swej udaje dobrą wiarę, ufając, że statystyka się nie ukaże, bo Koło — z góry to można przypuścić — do takiego życzenia „Kuryera“ się nie przychyli i przychylić się bez ubliżenia swej godności nie może. To jest ta furtka, którą ten „organ duchowieństwa“, używający moralnego kredytu naszego zacnego duchowieństwa tak, jak Milan, serbskich finansów, wymknąć się może przed następstwami swych kłamstw i oszczerstw; w pogoń nie potrzeba się za nim puszczać, bo każdy uczciwy człowiek wie, co sądzić o nim i jego doradzcach.“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Młodoczeskie *„Narodni Listy“* piszą z powodu stuletniej rocznicy urodzin Szafarzyka:

„Sto lat mija od chwili, w której urodził się narodowi czesko-słowiańskiemu w zapadłej wiosce podtatrzańskiej jeden z największych uczonych, mąż wielki duchem i sercem, Józef Szafarzyk. Nasza Akademia Umiejętności spełnia obowiązek w sposób należyty, czcząc pamięć uczonego. Ale naród nasz byłby niewdzięcznym, gdyby obowiązek ten chciał pozostawić niewielkiemu kołu uczonych i nie uczcił sercem swojem Szafarzyka, z tem ciepłem i zapałem, z jakim Szafarzyk czuł, cierpiał i za nas walczył. Złote to było serce, serce idealisty prawdziwego! Jeżeli Kolara przyrównujemy do Piotra, księcia apostołów, to Szafarzyk był Pawłem, który swoją wiedzą, nauką i zapałem spełnił misyą apostolską odrodzenia się narodowego. On to był twórcą idei solidarności słowiańskiej, on w treść jej wrósł, dla niej zapłonął ogniem nieugaszonym i w pracy pełnej poświęcenia do końca żywota wytrwał. Jego duch genialny i badawczy w zwycięstwo tej idei wierzył, a wiara ta silną była jak opoka. W solidarności słowiańskiej upatrywał on wielkość i siłę Słowiańszczyzny; natchniony ideą, przenosił ją na współczesnych, przeniósł i na nas. Całe swe życie walczył za nią, przenosząc wiarą góry, cierpiąc nędzę, usuwając przeszkody, które los przed jego stopy rzucał.

Głowę nosił wysoko ponad chmurami zawiści i przeciwieństw bezmiernych i zbudził w narodzie zaufanie do siły własnej, wiarę w zwycięstwo prawa i sprawiedliwości.

„Stracen jest ten, kto sebe strati“, dla tego wzywał nas do walki na śmierć lub na życie: „czy zginiemy, czy zwyciężymy dziś tego przewidzieć nie można; niech nam obojętnem będzie czy nasze czoła, czy grób splecie wieniec wawrzynu.“

„Aby dodać serca walczącym, podejmował badania naukowe, w których wykazał, że Słowianie porówno z Romanami i Germanami są narodem europejskim, plemieniem prastarem od niepamiętnych czasów w Europie osiadłem. Jogo „Narodopis slovancki“, to księga, którą według słów Jungmannna, każdy Słowianin przy sobie nosić powinien.

Dnia 27 czerwca upłynie lat 37 odkąd serce Szafarzyka bić przestało. Od tego czasu powstali u nas prorocy fałszywi, głoszący, że ideje Szafarzyka to utopie. Ale w narodzie czeskim jest pamięć Szafarzyka świętą, naród czeski nie przestał w to wierzyć, w co wierzył Szafarzyk...“

* * *

Władysław Rabski.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(Ciąg dalszy).

WOLSKI *(po chwili)*.

A więc z panem, hrabio Warecki, skończyłem. Lecz zanim dom ten opuszczę, pragnę z ust innych wyrok mój usłyszeć. Panno Marto! Wierzę słowom i przysięgom pani. Czekam wyroku.

(długa chwila milczenia)

MARTA.

Ojcze... ja ciebie usłuchać nie mogę... ja już do niego należę.

WARECKI.

Co? *(hamując się)* Namyśl się dobrze.

MARTA.

Przebacz... przebacz mi ojcze... dziś już zapóźno.

WOLSKI *(chwyta ją za rękę)*.

Marto! Teraz jam silny i niechaj nikt się nie waży stanąć między nami.

WARECKI *(hamując z trudem oburzenie)*.

Dobrze!... Wybieraj!... Gwałtem twej woli krępować nie będę, lecz między mną a panią Wolską obrus przecięty na zawsze. Jeżeli nie usłuchasz, ja stracę córkę, a ty stracisz ojca.

MARTA *(zbliża się do ojca)*.

Nie! ojcze, ty nie odepchniesz... przecież ja ciebie całą duszą kocham.

WARECKI *(cofając się)*.

Wybieraj!

WOLSKI.

Pójdź Marto! Nie błagaj! Wybór skończony, panie hrabio.

MARTA.

Ojcze!... zobaczysz... wszystko będzie dobrze... ale ja nie mogę.

WARECKI.

Więc idź! Idź natychmiast! Konie stoją na twoje usługi, a drzwi mego domu zamknięte dla ciebie.

(dzwoni).

MARTA *(chwyta go za rękę)*.

Nie, nie...

(wchodzi lokaj).

WARECKI *(do lokaja)*.

Powóz dla panny Marty. *(do Wolskiego)* Żegnam. Niech pani Melanja dla państwa Wolskich zgotuje gody weselne *(wydziera rękę z uścisków Marty i wraz z Karolem wychodzi drzwiami na prawo. Wolski i Melanja zbliżają się do Marty.)*

MARTA *(z płaczem tuli się do piersi Wolskiego)*.

Zygmuncie!

(Kurtyna spada).

Akt III.

(Scena przedstawia pracownią literacką, gustownie ale skromnie umeblowaną. Na stołach leżą porozrzucane dzienniki i książki. Drzwi od frontu i po lewej stronie. Po prawej stronie okno i telefon. Na kominku pali się ogień. Przy podniesieniu kurtyny siedzi Marta przy otwartem oknie i płacze; u stóp jej leży książka otwarta.)

Scena I.

Wolski i Marta.

WOLSKI *(wchodzi drzwiami po prawej stronie, milcząc przypatruje się przez chwilę Marcie, potem zbliża się i całuje ją w czoło)*.

Marto! co tobie?

MARTA.

A! to ty... Nic, nic... *(uśmiecha się przymusowo)*.

WOLSKI.

Ty coś ukrywasz przedemną. Przez pięć miesięcy pożycia naszego, te łzy już nieraz widziałem. Co tobie Marto?

MARTA.

Nic... zapewniam cię. Sama nie wiem, zkąd mi się bierze ta żałość.

WOLSKI.

Nieszczerą jesteś. Mów, co ci dokucza. *(Marta milczy)*. No! mówże, pragnę łzy twoje osuszyć. *(Marta wybucha płaczem nerwowym.*

Białogrodzka „*Serbska Zastawa*“ (Sztandar) pisze pod nagłówkiem „Srbsko-madjarsko prijatjelstvo“:

„Stosunek nasz do Madziarów nie był zawsze nieprzyjacielskim, w chwilach pod względem dziejowym ważnym częstokroć, następowało porozumienie. Porozumienie zawsze spowodowało skutki dla obu narodowości pożądane; Madziarży, ilekroć razy znajdowali się w położeniu krytycznem podawali nam rękę do zgody.

Interwencya Rosyi i stłumienie powstania madziarskiego w roku 1849 pozbawiły Madziarów wszystkiego! nam Serbom i Rumunom żadnej przysługi Rosya nie uczyniła, bo żadnego pożytku nie osięgnęliśmy, mieli go tylko wspólni nasi wrogowie Niemcy, im to Rosya dopomogła.

Nastąpił peryod krwawej reakcyi, swoboda została Madziarom odjęta, patryotów madziarskich wtrącono do więzienia, wieszano na szubienicach. Wówczas to madziarskie dzienniki ogłosiły manifest drukowany cyrylicą do braci Serbów i do prasy serbskiej, na co im serbskie dzienniki białogrodzkie odpowiedziały w sposób przyjacielski, zapewniając pomoc moralną i gotowość do wspólnej walki.

Był to pierwszy objaw przyjaźni po dwuletniej walce orężnej i duchowej. Po tym pierwszym szybko następowały drugie. Zona Koszuta znalazła przytułek u serbskiego ministra Garaszanina, za co mu Koszut w osobnem piśmie dziękował, wykazując potrzebę porozumienia się pomiędzy obu narodami.

Literaci madziarscy tłomaczyli na język madziarski serbskie pieśni, nasi tłomaczyli Pesöfijago. Aranja i Jokaja. Sekretarz „Serbskiej Maticy“ był mile widzianym gościem w salonach arystokratów madziarskich i inteligencyi madziarskiej, pracujących nad podniesieniem oświaty ludu i rozmyślających o grzechach przeszłości. W ówczas to Madziarzy przysięgali Serbom wieczną przyjaźń.

Od roku 1859 do 1867 węzły przyjaźni się zacieśniły. Madziarzy nie chcieli zostać osamotnieni w walce o prawa narodowe. Serbowie wiernie walczyli obok Madziarów. Ostatni nie pomijali żadnej sposobności, ażeby swoją przyjaźń i sympatye Serbom okazywać. Przy takich okazyach wołali Madziarzy: Eljenek a Szerbek!“, a Serbowie odpłacali piękne za nadobne: „Ziwili Madjari!“

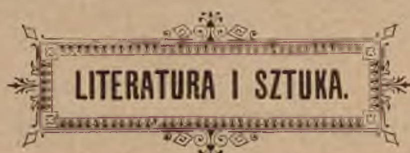
„We wszystkich zebraniach politycznych madziarskich brali udział Serbowie.

„Tak się działo aż do roku 1866, w którym wybuchła wojna austryacko-pruska. Madziarzy otrzymali wszystko, o czem marzyli, nie potrzebowali sojusznika, więc z przyjąźni serbskiej skwitowali.

Dziś stosunki zapanowały takie, iż Madziarzy popierają przeciw Serbom Chorwatów, przygotowując dla nich grunt w Bośnii i Hercegowinie, w ziemiach rdzennie serbskich. Czy ta polityka wyjdzie Madziarom na pożytek, wkrótce przyszłość okaże. Dziś już atoli nie ma wątpliwości, że Madziarzy się w rachunkach swych pomylili. Stronnictwo liberalne rej wiodące na Węgrzech znajduje się pod wpływem polityków niemiecko-żydowskich. Liberałom madziarskim bliżsi są duchem Chorwaci, wśród których żydzi poczesne już zajmują miejsce, kiedy Serba-żyda jeszcze dotąd nie ma. Dr. Franjo, żyd chorwacki stoi na czele stronnictwa prawa, ziejącego na nas Serbów jadem nienawiści. Dla tej żydowszczyzny Madziarzy wygrywają przeciw nam Chorwatów, ale czy to polityka istotnie madziarska, czy ztąd pożytek jakikolwiek mogą mieć Madziarzy, to wielkie pytanie.

Gdyby Madziarzy nad kwestyą tą głębiej się zastanowili, musieliby przyjść do przekonania, że polityka ta zgubną jest dla nich.

D. K.



PER KRAFFT.

„Przegląd Polski“ zamieścił w dwu pierwszych zeszytach z r. b. początek obszernej pracy dr. Jerzego Mycielskiego p. t. „Malarstwo w Polsce od r. 1764 do r. 1887. W zeszycie VIII (z lutego), wymieniając malarzy obcokrajowców, którzy już to chwilowo, już przez czas dłuższy w Polsce gościli, hr. Mycielski wspomina również o Kraffcie, malarzu szwedzkim i wyraża przypuszczenie, że i ten był w Polsce, a nawet na dworze króla Stanisława Augusta, skoro malował portret tego monarchy, oraz wizerunki osób znakomitszych owej epoki.

„Jak długo i w których latach bawił w Polsce portrecista szwedzki Krafft, — pisze dr. Mycielski na str. 300 i 301, — o nazwisku wcale głośnem ziomek szweda także, Roslina, owego po r. 1780 ulubionego między tylu innemi malarza dworu wersalskiego — wśród obecnych o nim danych dojść prawie niepodobna. Ze był czas jakiś w Warszawie na dworze Stanisława Augusta, że w galeryi królewskiej cały szereg portretów rodziny Poniatowskich i bliskich królowi osób malował nie ulega wątpliwości; kopiował też dlań różne sceny mitologiczne, a nadto znaczną ilość obrazów i portretów, między którymi dwa Stanisława Augusta dostarczył ks. biskupowi warmińskiemu, Ignacemu Krasickiemu. Być też może, że przez najbliższą Szwecyi Warmią i mecenasa jej duchownego wszedł był w bliższe stosunki z Warszawą i z zastępem artystów na dworze Poniatowskiego. Niestety, jak prawie wszyscy malarze portretów tej epoki, płócien swych nie podpisywał i ztąd jedynie tradycya takowych autentyczność dotąd potwierdza. Co się stało ze zbiorem jego płócien w galeryi biskupa Krasickiego? — nie wiadomo nam; a z nich jedynie możnaby dziś ocenić wartość artystyczną malowideł Kraffta, który jednak musiał być portrecistą niezwykle zdolnym, skoro wśród tylu w Polsce najzdolniejszych cudzoziemców w tym fachu robił przecież wizerunki króla i najsłynniejszych tego czasu kobiecych piękności, a równie wybredny artystyczny smakosz, jak ks. biskup-poeta kilku jego utworami galeryę swą ozdobił. Szkoda też, że na wystawie ani jeden portret pendzla Kraffta, bodaj w przybliżeniu autentyczny, nie pozwalał ocenić wartości prac malarskich tego niezawodnie przez lat parę w drugiej połowie wieku XVIII w Polsce pracującego Szweda“.

Przypuszczenie to wyraził już był Edward Rastawiecki w t. I „Słownika malarzów polskich“, a powtórzył je w Encyklopedyi Orgelbranda K. Wł. Wójcicki. Data śmierci owego Kraffta, przytoczona u Rastawieckiego, i kilka szczegółów z życiorysu wskazują, że miał on na myśli portrecistę szwedzkiego Per (Piotra) Kraffta (ojca). Ponieważ zaś ten artysta malował rzeczywiście portrety polaków i, jak zobaczymy niżej, należy w pewnej mierze do tych malarzy, o których w pracy swej mówi dr. Mycielski, — uważam za słuszne podać tu jego życiorys.

Per Krafft urodził się w r. 1720 w miasteczku Arboga. Początkowo kształcił się pod okiem znanego malarza szwedzkiego Jana Henryka Scheffel'a. W r. 1755 wyjechał do Danii i przez dwa lata pracował u i dla hr. Otto Thott'a. Kopiował tam i malował portrety rodzinne, które i obecnie znajdują się w zamku Thott'ów Guanö na Seelandzie pod koniec roku 1766 udał się do Paryża na koszt hr. Thotta i tam zetknął się z Aleksandrem Roslinem (ur. w Malmö 1718, zm. w Paryżu 1793). W r. 1762 Krafft mianowany został malarzem nadwornym margrabiego Baireuth, następnie w latach 1764 i 65 pracował i kształcił się we Włoszech.

Wówczas właśnie otrzymał zaproszeni

Wolski siada przy niej na poręczy fotelu.) Marto! Żądam odpowiedzi, mam prawo do tego. Chcę znać przyczynę twojego smutku, bo z nieznanym wrogiem walczyć niepodobno.

MARTA (*wstaje i mówi urywanym głosem, wskazując na okno*).

Tam ojciec przechodził i Karol. Spojrzeli w okna i odwrócili się bez słowa, bez uśmiechu, bez ukłonu nawet.

WOLSKI (*smutnie*).

Ty tęsknisz. Przeczuwałem to, bałem się tego...

MARTA.

Ja niewinna, Zygmuncie, ja ciebie kocham (*tuli się do niego*), o! tak! ale widzisz... tam ojciec i brat. Więc nieraz łza się w oku zakręci i boleść zapnie za serce.

WOLSKI.

Tak... Bezsilny jestem wobec takiej skargi... Gdyby nie te wybory, zabrałbym cię natychmiast i uciekł ztąd w inne strony, między innych ludzi. (*chwila zamyślenia*). Gdy walka skończy, musimy na czas dłuższy opuścić miasto. (*wstaje*) Cierpliwości! Teraz nie mogę, muszę stać na posterunku. Raz trzeba skończyć z nimi, bo każdy dzień ich panowania to policzek dla narodowego honoru. (*po chwili*) A! ten Ruszczewski, ten Ruszczewski! Ja mu ufałem, — sądziłem, że on wśród organizmu obywatelstwa naszego jest cząstką zdrową i szlachetną, a on ziemią polską frymarczy jak pospolitym towarem. Karłowice! Klejnot prowincyi sprzedany, — gdzie spojrzysz, błoto i brud... Ale zkąd ten goły rezydent wziął grosze na Judaszowe kupno?

MARTA.

Mówiła ci Melanja, że spadek po bracie odebrał.

WOLSKI.

Hm! (*po chwili*) Ten brat się w grobie przewróci... Ale ukarałem handlarza. Artykuły napisane w tej sprawie zrobiły wrażenie, i jeżeli twój szlachetny kuzyn ma jeszcze odrobinę wstydu, to przeczytawszy je, rumieńcem oblać się musiał.

MARTA.

Biedny starzec! Z plamą na czole do trumny się położy. Może on niewinny, może musiał sprzedać; przecież nie znamy bliższych szczegółów tej sprawy!

WOLSKI (*gniewnie*).

Więc któż winien? O! nie broń ich. Dla nich już nie ma ratunku i prędzej czy później ustąpić muszą. Dziś piątek, a w środę wybory. Pięć dni tylko dzieli nas od chwili, której samo istnienie jest dowodem reformy w stosunkach naszych. Po raz pierwszy stajemy do śmiertelnej walki. Świt przeciw mrokom! Wisłowski contra Warecki.

MARTA (*smutnie*).

Przeciw Karolowi, przeciw ojcu... (*po chwili*) Ta twoja „Trybuna“ to ostrze noża, które tu się wpija (*wskazuje na piersi*). Lecz boleść moja, cóż ona ciebie obchodzi?! Ty masz twój dziennik i twoich Wisłowskich.

WOLSKI (*zniecierpliwiony*).

Znowu ten lament; tyś moją żoną i moje zasady winny być twojemi.

MARTA.

Krwi mojej zaprzeć się nie mogę. To brat mój jedyny, to ojciec.

WOLSKI.

To wróg!

MARTA.

Nie mów tak. Czy wiesz? Ja czasem dziwnie się boję... i mam czasem chwile takie, w których patrzę na ciebie jak na obcego.

WOLSKI (*z wzrastającem oburzeniem*).

Do mnie należysz i kochać to będziesz, co ja ukochałem, — nienawidzieć, co ja nienawidzę.

MARTA.

Zygmuncie!

(*wchodzi Melanja.*)

Scena II.

Ciż i Melanja.

MELANJA.

Co tu się stało?

WOLSKI (*ostro*).

Wolska o hrabiance Wareckiej zapomnieć nie chciała.

króla Stanisława Leszczyńskiego i przybył do Nancy. Otrzymawszy godność malarza dworu filozofa dobroczynnego, przebywał w Nancy aż do roku 1768*), a więc i po śmierci króla.

Po powrocie w r. 1773 do Szwecyi mianowany został profesorem akademii i malarzem nadwornym królewskim. Umarł w Sztokholmie dnia 7 grudnia 1793 r. Syn jego, Per Krafft, również malarz portrecista, (ur. w r. 1777, zm. w r. 1863). Kształcił się w Paryżu u Davida. Powróciwszy w r. 1806 do Szwecyi, nie wydalał się już z rodzinnego kraju, a w Polsce nie był nigdy.

Być może, że przebywając na dworze Stanisława Leszczyńskiego, Per Krafft (ojciec) dostał zaproszenie od kogoś z rodziny Poniatowskich, czy od samego Stanisława Augusta i udał się do Polski — jednakże ani w jego życiorysach, ani we współczesnych dziennikach szwedzkich, które Roslinem i Krafftem interesują się żywo, ani wreszcie w pamiętnikach z tej epoki, żadnej o tym jego pobycie w Polsce wzmianki nie znajdujemy.

W katalogu p. t. *„Spis obrazów, znajdujących się w galeryi i pokojach pałacu willanowskiego,* wydanym w Warszawie 1834, pod N. 484 wymieniony jest portret hr. Rzewuskiej, drugiej siostry hr. Stanisławowej Potockiej, malowany przez Grafta.

W r. 1875 p. H. Bukowski nabył w Sztokholmie znaczną część spuścizny artystycznej po Krafficie młodszym od jego dzieci, a nadto sześć malowideł Per Kraffta ojca. W liczbie tych ostatnich był bardzo piękny portret króla Stanisława Leszczyńskiego, wymalowany w Nancy w r. 1765, oraz portret naturalnej wielkości Jerzego Michała Potockiego, ambasadora Rzeczypospolitej przy dworze szwedzkim i autora dziełka p, t, „Histoire de l'assassinat de Gustave III, Roi de Suede par un officier polonais, témoin oculaire“, — wykonany przez Per Kraffta w Sztokholmie. Ten wizerunek zapewne wskutek nagłego wyjazdu ambasadora Potockiego ze Szwecyi nie był wykupiony od malarza i pozostawał w posiadaniu jego syna, a później wnuków aż do r. 1875, w którym to czasie za pośrednictwem J. I. Kraszewskiego, przeszedł z rąk p. H. Bukowskiego na własność ś. p. hr. Augustowej Potockiej i obecnie znajduje się w galeryi Wilanowa.

Warto byłoby porównać portret hr. Rzewuskiej. malowany przez Grafta i portret Jerzego Michała Potockiego, aby skonstatować, czy te dwa malowidła jednego są pędzla. Historya portretu hr. Rzewuskiej, znana zapewne, mogłaby się przyczynić do wyjaśnienia zagadki. Może ten portret pochodzi ze zbiorów biskupa Krasickiego, albo Stanisława Augusta, może należy do szeregu malowideł, które wymienił Rastawiecki z rękopiśmiennego katalogu p. t. „Catalogue des Tableaux apartenants à Sa Maj. le Roi de Pologne 1793? Jeżeli jest utworem naszego Per Kraffta (ojca), to zapewne nosi jego podpis, gdyż ten artysta zazwyczaj podpisywał się na swych obrazach. Ile jest znanych i niewątpliwie autentycznych prac jego malarskich, wszystkie zaopatrzone są w jego nazwisko. Na dowód przytaczam z nich kilka. Portret Gustawa Wazy, który znajdował się w zbiorze Adolfa von Liebermanna, (opisany szczegółowo w „Die Gemälde-Galerie... Adolf von Liebermann...“ Köln 1894. Str. 68), nosi nietylko sygnaturę, ale nadto i datę: „P. Krafft pinx. 1778“. Portret Olofa Kexell (opisany w „Christofer Eichhorns efterlemnade Samlingar Stockholm 1890“ na str. 45) nosi również sygnaturę: „Krafft p. 1774“. Portret Daniela Lithandera, (opisany tamże) nosi napis: „P. Krafft p. 1792“. Nawet na kredkowym rysunku, znajdującym się obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Rapperswylu, który stanowi szkic do portretu Jerzego Michała Potockiego — Per Krafft położył swe nazwisko. *S. Z.*

*) Svenskt biografiskt Handlexikon.. af Herm. Hofberg. Förra Delen. Stockholm 1876“. Str. 525.

Stosunki literackie Rusi halickiej

(Ciąg dalszy).

Najwybitniejszą postacią literatury ruskiej jest bez wątpienia Iwan Franko. Urodził się on 3 sierpnia r. 1856 we wsi Nabujowicze powiatu drahobyckiego w prostej, choć dość zamożnej chacie włościańskiej. Ojciec jego, rozwinięty włościanin, nie szczędził zachodów, byle dać synowi jakie takie wykształcenie. To też jak tylko Iwan ukończył lat pięć, ojciec oddał go do szkoły ludowej we wsi sąsiedniej. Po dwóch latach przeszedł Iwan do drugiej klasy „normalnej“ szkoły w Drohobyczu, prowadzonej przez OO. Bazyljanów. Nieśmiały chłopak, ubrany po chłopsku był przez długi czas celem drwin kolegów i prześladowań ze strony nauczycieli, ale ku powszechnemu zdumieniu już przy pierwszym egzaminie otrzymał stopień celujący i nawet nagrodę za dobre postępy w nauce. Wkrótce po wstąpieniu Iwana do szkoły bazyljańskiej, zmarł jego ojciec, pozostawiając młodą wdowę z czworgiem nieletnich dzieci. Gospodarstwo Franków poczęło się chylić ku upadkowi, i młoda wdowa zmuszona była wyjść zamąż powtórnie. Ojczym Iwana podźwignął gospodarstwo z upadku i szczerze zajął się losem pasierba. Kiedy Iwan ukończył szkołę normalną, ojczym postarał się umieścić go w gimnazjum drohobyckim. Tu powtórzyła się ta sama historyja, co u Bazyljanów. Niepozornego chłopaka posadzono początkowo na „oślej“ ławce, ale już wkrótce, dzięki swym wybitnym zdolnościom i fenomenalnej pamięci, Iwan zwrócił na siebie uwagę wszystkich nauczycieli i aż do ukończenia gimnazjum był jednym z najlepszych uczni.

Już w czwartej klasie zapoznał się Franko dość dobrze z klasykami zachodnio-europejskimi, z koryfeuszami literatury polskiej, tudzież z niektórymi pisarzami ukraińskimi. Pod wpływem tej lektury począł sam próbować pisać poezje, powiastki i nawet dramata, a oprócz tego przełożył kilka urywków z „Odysei“, „Urjela Akosty“, „Nibelungów“, cały „Rękopis królodworski“, „Antygonę“ i „Elektrę“ Sofoklesa. Skończywszy w r. 1876 gimnazjum, Franko przyjechał do Lwowa i zapisał się na wydział filozoficzny uniwersytetu. Tu od razu znalazł się w atmosferze gorących sporów narodowych, które dla niego, jako przybysza z zapadłego kąta prowincjonalnego, były bardzo mało zrozumiałe. Wskutek tego wahał się bardzo długo, nie wiedząc, do którego stronnictwa ma się przyłączyć i nareszcie wstąpił w poczet członków moskalofilskiego stowarzyszenia „Akademiczeskij Kružok“ głównie z tego powodu, że to stowarzyszenie studenckie wydawało własny organ „Druh“.

Wkrótce Franko stał się jednym z najruchliwszych współpracowników studenckiego organu, w którym zamieścił cały szereg poezyi i dłuższą powieść „Petrji i Dowbuszczuki“. W sporach kółkowych nie brał Frank prawie żadnego udziału i, aczkolwiek był zmuszony drukować swe utwory w „Druhu“ w żargonie moskalofilskim, ale dla siebie pisał po wesołemu i to fonetyką.

Od połowy r. 1876 w redakcyi „Druha“ począł zwyciężać kierunek narodowy dzięki wpływowi Michała Dragomanowa, znakomitego pisarza ukraińskiego i profesora uniwersytetu kijowskiego. Prof. Dragomanow w całym szeregu listów do redakcyi „Druha“ wyjaśnił zadania inteligencyi ruskiej i wskazał jej drogę, na której mogłaby przynieść prawdziwą korzyść swemu społeczeństwu i ludowi. Autor listów do redakcyi „Druha“ gorąco zachęcał młodzież do poznania prawdziwej rosyjskiej literatury, całkiem słusznie spodziewając się, że młodzież, zapoznawszy się bliżej z literaturą rosyjską i przejąwszy się jej postępowo-demokratycznymi ideami, zabierze się szczerze do pracy na korzyść mas ludowych; że porzuci on wstrętny żargon moskalofilski i pocznie przemawiać op

---

MARTA.

Powiedz... nie mogła! *(zanosi się płaczem i wychodzi drzwiami na lewo).*

Scena III.

Wolski i Melanja.

WOLSKI. *(chwila milczenia, Wolski spogląda za Martą a następnie rzuca się w fotel z ciężkiem westchnieniem.)*

A!... Nić życia wikłać się zaczyna... A jednak to być nie może... ona musi być szczęśliwą.

MELANJA.

Panie Zygmuncie! Te małe chmury to zapowiedź burzy. Marta w tym nowym świecie znalazła chłód i pustkę. Wybacz pan... ja nie chcę dotknąć ideałów twoich... ja się na tem nie znam... ale zdaje mi się, że ludzie, któremi Martę otoczyłeś, rażą ją i dręczą. Jej brak tej subtelnej delikatności uczuć... tych artystycznych pierwiastków życia, które otaczały ją w domu ojca, wśród dawnych znajomych. Jej tu zimno i cudzo.

WOLSKI.

Rozumiem. To surowe bryły żelaza, które z ziemi wydobywam, — nie onyksowe kamee, nie rzeźby misterne. Ale wytworność Medyceuszów to dekadencyi znamię, ta szorstkość ludowa to zdrowie i siła.

MELANJA *(z smutnym uśmiechem).*

Być może, ale trybun ludu nie zmieni Medyceuszki i snuć się dalej będzie wątek tragedyi.

WOLSKI.

O tak. *(wstaje)* Ta myśl mi głowę rozsadza. Gdybym mógł stworzyć dla niej inne otoczenie, gdybym mógł pamięć z duszy jej wyszarpać lub dać złudzenie przeszłości! Szukam... szukam naprożno. Tęskni za ojcem i bratem, a miłość dla mnie usycha.

MELANJA.

Wyjeżdżajcie! Jedźcie na południe. Tam odetchnie i zapomni może. A tu tęsknota snuje się pasmem nieprzerwanem, — każdy dom, każdy kamień jest dla niej wspomnieniem.

WOLSKI.

Tak... tak... wyjedziemy... ale nie teraz. Wybory za pasem a potem pokłosie walki. *(Po chwili.)* Sądziłem, że zapomni o nich, lecz mój rachunek psychologiczny omylił, — przeliczyłem się... Gdyby jeszcze w tych ścianach dziecko zakwiliło, wtedy może... może...

MELANJA.

Odwagi! i nie czekajcie z podróżą. Dla mnie to pustka i noc... ale o was chodzi.

WOLSKI *(całuje jej ręce).*

Gdybyś ty, siostro, mogła w nią przelać cząstkę swej duszy kochającej!... Ale to naprożno... *(opuszcza głowę).*

MELANJA.

Ja siostra... tak.. a jednak...

WOLSKI *(chwila milczenia).*

O! nie mów ty nic, pani. Dusza ludzka musi wierzyć w cośkolwiek tą wielką, promienną ufnością dziecka, która nie zna żadnych ograniczeń. Nie analizuję nigdy naszego stosunku i nie chcę uświadomić sobie ram naszej przyjaźni. Zdaje mi się, że ona bez końca i bez początku.

MELANJA *(w zamyśleniu).*

Bez końca...

WOLSKI.

O! tak. W promieniach twojej przyjaźni dojrzało szczęście moje, a dziś, gdy między mnie a Martę wciska się ten upiór straszny, ten przeklęty głos krwi, ty. pani, czuwać będziesz nad nią. *(ujmuje ją za rękę)* Nieprawda? Ty skruszyłaś niegdyś jej bojaźń przed ojcem i dziś nam będziesz aniołem stróżem.

MELANJA *(nerwowo.)*

A jeźli siły opuszczą? Jeżeli serce gwałtem tłumione zbuntuje się i twój anioł, panie Zygmuncie, stanie się... kobietą?

WOLSKI *(niespokojnie).*

Kobietą?

MELANJA *(z wzrastającem uniesieniem).*

Cztery lata męki, ale w końcu wszystko się łamie. Lękałam się litości twojej i milczałam jak grób... Potem Marta stanęła między nami... cierpiałam bardzo... ale nic nie mówiłam i mówić nie mogłam, bo ciebie stracić nie chciałam... Byłbyś urągał, przeklinał może—

ludu w jedynej dla niego zrozumiałej mowie, t. j. w małoruskiej.

Słowa prof. Dragomanowa wywarły na młodzieży bardzo wielkie wrażenie. „Druh“ z pisma żargonowego przekształcił się na małoruskie stowarzyszenie młodzieży ruskiej przekonań narodowych „Drużnyj Łychwiaz“ łączy się z „Akademiczeskim Krużkiem“, który staje się ogniskiem ruchu narodowo-demokratycznego wśród młodzieży. Młodzież ta wydaje zbiorek różnych utworów „Dnistrianka“, w którym Frank zamieszcza pierwsze swe opowiadanie z życia ludowego.

Tymczasem w „Druhu“ ciągnęły się dalej „Petrji i Dowbuszczuki“, powieść rozpoczęta pod wpływem opowiadań fantastycznych Hofmana, a skończona w całkiem już innym duchu, z pewną tendencyą społeczną. W „Druhu“ również ukazała się jego poezya „Najmita“ tudzież szereg obrazków z życia robotników, zatrudnionych w kopalniach bożysławskich.

Podczas studyi uniwersyteckich Franko czytał bardzo dużo i dokładnie zapoznał się z głównymi przedstawicicielami powieści europejskiej: Zolą, Tlaubertem, Spielhagenem, Tołstojem i Turgeniewem. Ale studya zostały przerwane przez proces, który spadł na Frankę całkiem niespodziewanie. Aresztowano go wraz z całą redakcyą „Druha“, oskarżoną o zawiązanie tajnego związku rewolucyjnego. Śledztwo trwało przeszło siedm miesięcy i w końcu Frank został skazany na areszt sześciumiesięczny. Tak sam proces jak i wyrok był dla niego zupełnie niespodziewany, ponieważ Franko do żadnej winy nie poczuwał się i do żadnego tajnego związku, ma się rozumieć, nie należał. „Dziewięć miesięcy, spędzonych w więzieniu były dla mnie prawdziwą katuszą — powiada sam Franko w swej autobiografii. Traktowano mię jak zwykłego zbrodniarza. Siedziałem pomiędzy złodziejami i włóczęgami, których bywało ze mną w jednej celi po 14—18. Przerzucano mię z jednej celi do drugiej, męcząc ciągłemi rewizyami, głównie z tego powodu, że „pisałem“ t. j. zapisywałem na przypadkowo otrzymanych kartkach papieru pieśni i przysłowia od swych współwięźniów lub własne poezye. Kilka tygodni przesiedziałem w ciemnej celi o jednym tylko oknie, w której mieściło się dwunastu aresztantów. Więźniowie ustępowali mi „najlepsze“ miejsce pod oknem, naprzeciwko drzwi. A ponieważ okna nigdy nie zamykano, więc codziennie budziłem się osypany śniegiem.“ Ale więzienie było jeszcze niczem w porównaniu do tego, co musiał znieść od własnego społeczeństwa po wyjściu na wolność. Wyłączono go z liczby członków towarzystwa „Preświta“, zabroniono mu przychodzić na gazetę do kasyna ruskiego „Besida“, a ludzie, którzy miewali do niego jakiś interes, widywali się z nim tylko potajemnie.

Tymczasem Franko nawiązał przerwane studya uniwersyteckie i pilnie pracował nad własnym wykształceniem. Nie przerywał również i pracy literackiej, zamieszczając swe utwory w organach młodzieży (Hromadskyj Druh“, „Dzwin“ i „Mołoł“), wydawanych przy jego pomocy przez M. Pawlika. Tu zamieścił powieść „Boa Constrictor“ i kilka drobnych poezyi tudzież szereg artykułów krytycznych. Starsza inteligencya, zwłaszcza duchowieństwo wrogo odnosiło się do działalności młodzieży, Sama zaś młodzież była jeszcze tak słaba, że nie mogła utrzymać żadnego ze swych organów przez czas dłuższy. Brakowało jej również i przygotowania teoretycznego. Po wyjeździe Pawlika za granicę począł Franko wydawać „Drobną bibliotekę“ — szereg broszur treści popularno-naukowej, przeważnie tłumaczonych.

Z biegiem czasu zawięzuje Franko stosunki i z polskim światem literackim i poczyna pisywać do pism polskich. W r. 1881 począł wydawać razem z Bełejem pismo literacko-naukowe „Świt“, w którym zamieścił kilka artykułów naukowych, część obszernej powieści z życia robotników i dużo poezyi tak oryginalnych jak i tłumaczonych. Ale już w roku następnym zmuszony był z braku środków do życia powrócić do wsi rodzinnej — Natujowicz — gdzie przebywał prawie dwa lata, zajmując się pracą w polu, przekładając „Fausta“ i przygotowując artykuły do „Świtu“. W r. 1883 jego powieść historyczna „Zachar Berkut“ przysłana na konkurs, rozpisany przez redakcyą pisma „Zorja“, otrzymała pierwszą nagrodę. Narodowcy zwrócili baczną uwagę na młodego pisarza i kiedy Frank powrócił do Lwowa, zaprosili do współpracownictwa w głównym swym organie „Diło“. W piśmie tem drukowały się liczne artykuły Franki w kwestyach społecznych i ekonomicznych. Artykuły te, jak również i niektóre broszury jego, wydane przez towarzystwo „Proświta“, zwróciły na siebie powszechną uwagę. Aczkolwiek Franko pracował w wydawnictwach narodowców, jednakże nierzadko musiał walczyć z ich wstecznemi tendencyami. Narodowcy tolerowali go jako najzdolniejszego pisarza galicyjskiego, ale zupełnie nie podzielali jego poglądów, co go bardzo krępowało. Czas jakiś redagował Franko „Zorję“, ale wkrótce musiał się zrzec tego, ponieważ w żaden sposób nie mógł dogodzić wymaganiom areopagu narodowieckiego. Począł on pracować w pismach polskich („Kraj“, „Prawda“, „Głos“), wydawanych za kordonem, a w r. 1887 wstąpił do redakcyi „Kuryera Lwowskiego“, gdzie pracuje i dotąd. Współpracownictwo w pismach polskich nietylko zapewniało mu zarobek trwały, ale i niezależność.

Z r. 1887 działalność Franki bardzo się wzmaga. Pisze on opowiadania, poezye, artykuły krytyczne i naukowe, przekłada, koresponduje do pism różnych i t. d. Obok tego poczyna Franko grać wybitną rolę i na arenie politycznej jako jeden z najpierwszych członków stronnictwa radykalnego. W r. 1893 Franko doktoryzuje się we Wiedniu, a w następnym poczyna wydawać pismo „Żytie i Słowo“, w którem zamieszcza mnóstwo cennych artykułów, przeważnie z dziedziny historyi literatury i folubrystyki. Przed miesiącem habilitował się Frank na uniwersytecie lwowskim, pragnąc zająć katedrę literatury ruskiej.

Pierwsze poezye Franki ukazały się w organie studenckim „Druh“; nie przedstawiają one nic godnego uwagi ani pod względem myśli, ani pod względem formy. Są to utwory romantyczno-patryotyczne, pisane dość wadliwym językiem, jakich setki drukowały się wówczas po pismach ruskich. W „Baladach i opowiadaniach“, wydanych w r. 1876 Franko również nie przejawił wielkiego uzdolnienia, aczkolwiek forma tych utworów jest już znacznie doskonalsza. Ale już we dwa lata po wydaniu „Balad i opowiadań“ w piśmie „Dzwin“ ukazuje się jedna z najpiękniejszych poezyi Franki „Kamieniarze“. Wszystkie poezye Franki, napisane po roku 1878 ogromnie różnią się od jego pierwszych prób. Jednostronny nacyonalizm ustępuje w nich miejsca szerszym, ogólnoludzkim ideałom. Poezye Franki — to owoce prawdziwego natchnienia. Wszystkie są przeniknięte szczerą miłością do poniżonych i gnębionych, tak że Frankę zupełną słusznością można nazwać poetą pracujących, cierpiących, prześladowanych, dążących do światła warstw społecznych. Najlepszym utworem poetyckim Franki jest poemat „Pańskie żarty“. Akcya toczy się za czasów pańszczyzny w Galicyi. Bogaty dziedzic, niesumiennie wyzyskujący swych poddanych napotyka opór ze strony kochanego przez wszystkich włościan starego księdza wiejskiego, który wszelkiemi siłami stara się chociażby trocha ulżyć gorzkiej doli chłopów. Za jego namową włościanie zakładają szkołę i wyrzekają się pijaństwa. Oburzony na księdza, dziedzic każe swym sługom zamknąć kościół, do którego chłopi mieli się zgromadzić, aby przysiądz, że nie będą już używali gorzałki, i pomimo to, że sprawa działa się na Nowy Rok, każe chłopom pójść do lasu rąbać drwa. Mało tego, zmusza on do pracy i staruszka-księdza, który w skutek tego [illegible] umiera. Niebawem do wsi zjeżdża starosta ze

---

więc między nią a tobą nie stanęłam nigdy i własnemi rękami usłałam wam gniazdo. Tak!... Chwilami tylko marzyłam, że kiedyś odzyskam ciebie, chociażby nawet kosztem sumienia... za cenę grzechu...

WOLSKI.

Pani! (*cofa się.*)

MELANJA.

Nic, nic. Sama już nie wiem co mówię. Nic już, nic... Szaloną jestem... Panie Zygmuncie! ja nic nie powiedziałam... myśli się plączą... ja...

(*Słychać dzwonienie*)

WOLSKI (*zimno*).

Racz, Pani, wybaczyć, ale idą towarzysze pracy i boju na radę wojenną. Tam Marta we łzach, pani jej ból ukoisz. (*bierze ją za rękę*) Nieprawda, siostro? Ty czuwać będziesz nad tą, którą za cenę życia uszczęśliwić pragnę, nad żoną i kochanką moją.

MELANJA (*z wysiłkiem.*)

Tak... będę się starać. Do widzenia! (*zwraca się ku drzwiom*) Wyjeżdżajcie! T[illegible] lepiej dla was i dla mnie (*wychodzi drzwiami po lewej stronie*).

WOLSKI (*sam*).

I tu się plącze nić moja... Jeżeli i ona zawiedzie...

(*Wchodzi Wisłowski i Kostecki.*)

Scena IV.

Wolski, Wisłowski, Kostecki, w końcu Frania.

(*Wisłowski robi wrażenie ogładzonego parwenjusza. Cechuje go sztuczna wyniosłość. Mówi z pewną pretensyonalnością, akcentując silnie zwroty i słowa zapożyczone z obcych języków. W Kosteckim znać zapał młodzieńczy i fanatyzm. Ubranie jego niedbałe.*)

WOLSKI.

A! to wy... (*witają się*) Czekałem na was.

WISŁOWSKI.

W tej chwili wracam z placu boju. Zaprezentowałem się po raz ostatni wyborcom, naszkicowałem mój program, ale... (*wzrusza ramionami*).

WOLSKI.

I cóż?

KOSTECKI.

Wareccy i Ostrzyński z demoniczną zręcznością prowadzą agitacyę. Naszym *bourgeois* imponują bibki w towarzystwie hrabiowskiem, a chłop tak głosuje jak mu dziedzic każe.

WOLSKI.

Więc nie ma widoków?

WISŁOWSKI.

Nadzieja jest słaba. Sądziłem, że artykuły w sprawie Ruszczewskiego wzniecą iskrę buntu przeciw senatorom, ale Metternichowskie *ésprit* tej kliki ocaliło sytuacyę. Warecki wystąpił wczoraj z mową fulminującą i sam napiętnował postępek kuzyna. Mowę tę wydrukowano i rozrzucono w tysiącach egzemplarzy. (*dobywa z kieszeni kartkę papieru*) Słuchajcie! (*czyta*) „Wyborcy! Ponieważ w kronice życia obywatelskiego sprzedaż Karłowic łzami się zapisała, a tłum oszczerców i burzycieli wypadek ten przeciw kandydaturze mojej wyzyskał, zatem staję tu przed wami do publicznej spowiedzi. Przystępowała do mnie pokusa w postaci złota kolonizacyjnego, ale milszą mi ziemia ojczysta niż błyszczący kruszec. Odrzuciłem świetne propozycye, straciłem niemało, lecz rodakowi klucz Karłowicki oddałem bez żalu i bez wahania. Niestety nowy właściciel zawiódł oczekiwania moje i zrzuciwszy maskę stanął przed nami jako spekulant niegodny.“ (*przerywa czytanie*) No i tam dalej! (*śmieje się*) *Plaudite cives!* Na zdradzie Ruszczewskiego urósł Warecki do wyżyn bohatera.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Lwowa w celu rozpatrzenia sprawy. Starosta zatrzymuje się we dworze, pije i poluje razem z dziedzicem, a w czasie wolnym od tych zajęć, usiłuje wszelkimi sposobami wydusić z włościan zeznania na korzyść dziedzica. Ale pomocnik starosty, komisarz-Niemiec, zawzięty wróg osobisty dziedzica, radzi chłopom wysłać do Lwowa pełnomocników ze skargą na pana. Włościanie postępują według rady komisarza, ale dziedzic, dowiedziawszy się o tem, łapie pełnomocników na drodze, każe ich oćwiczyć i zamknąć do chlewa, a sam poczyna jeszcze gorzej postępować z chłopami. Minęła zima, a na wiosnę zniesiono pańszczyznę. Do wsi zjechał komisarz, aby przeczytać chłopom patent cesarski. Jednak obywatel ani słuchać nie chce o zniesieniu pańszczyzny; każe schwytać komisarza i zamknąć go w psiarni, zkąd go wyratowują chłopi. We wsi wybucha bunt; dziedzic zostaje aresztowany i wywieziony do Lwowa. Tłum włościan widział jak go prowadzono ze związanemi rękoma przez wieś, ale ani jedno słowo pogardy, ani jeden krzyk nienawiści nie wydobył się z ich ust. We dworze została żona dziedzica z dziećmi. Otóż chłopi, pomni, że dziedziczka pomagała im niekiedy, postanawiają pracować dla niej. Mało tego, jadą do Lwowa i przyczyniają się do uwolnienia dziedzica z więzienia.

Leon Wasilewski.

(Dokończenie nastąpi.)

Do przyszłości.

O! kocham cię, przyszłości pełna słońca
I pełna walk i żelaznego zgrzytu!
I dusza ma w pragnieniu czeka drząca,
Rychłoli brzask nowego zalśni świtu.
I dusza ma — wyciąga swe ramiona
Do ciebie tam, w dalekie aż przestworza,
Gdzie czekasz ty, zaklęta i uśpiona.
Aż zbudzi cię pożarów krwawa zorza.

O! kocham cię, choć wiem, że twoje przyjście
I dary twe poprzedzą nowe klęski,
I dusza ma tak teraz drży jak liście,
Choć słyszy gdzieś tryumfu krzyk zwycięzki,
I dusza ma od bólu aż zamiera,
Że jasnych dni doczekać się nie może,
Bo otchłań się przed wzrokiem jej roztwiera
I widzi łez wezbrane wielkie morze.

O! kocham cię, choć wiem, że mimo tylu
Okupień z krwi, boleści i pogromów,
Na które się od dawna wieki silą,
Ty ledwie krok postąpisz śród przełomów.
O! kocham cię, bo jednak krok ten zbliży
Nam znowu kres tak dawno upragniony,
I piersi znów odetchną wolniej, szerzej,
I pieśni dźwięk popłynie na zagony!

K. F. W.



Życie społeczne.

Listy z Berlina.

Dnia 16 maja 1895.

(Słowo nad grobem ustawy przewrotowej. — Dr. Arons. — Zjazd kobiecy w Monachium. — Wystawa sztuki. — Pan zmartwychwstały).

Odrzucenie ustawy przewrotowej nie było pono niespodzianką nawet dla jej autorów, nikt jednak nie spodziewał się, że nieboszczyk skończy tak nagle, że żegnany będzie tak wesoło i że ojcowie jego tak zupełną poniosą porażkę. Trzeba bowiem przyznać, że nie była to już porażka, lecz kompromitacya dla rządu. Rozpocząwszy od bardzo poważnych rozpraw nad § 111 i potem 112 odrzucano wśród wesołości i śmiechu wszystkie następne, tak, że kilka minut wystarczyło, aby cały projekt, elaborat tylu miesięcy, przedmiot tylu sporów zakwalifikowany został do kosza. Co powiedziały na to cesarskie orły, które tysiącami oczu patrzą z platform, z loży dworskiej, wieszcie z każdego krzesła i mówić się zdają, że całe to zgromadzenie przedstawicieli ludu, to tylko forma, w którą się zlewa cesarskie rozkazy. Niewątpliwie i same rozprawy usposobiły odpornie niejednego z tych, co pierwszego dnia byłby głosował za jakimś paragrafem w brzmieniu komisyi lub ustawy rządowej, ale jakkolwiek świetne były przemowy, zwłaszcza ze strony demokratów społecznych Auera i Bebla, zwyciężyli przecież nie tyle oni, co nacisk opinii wogóle. Może od czasów 48 roku duch opozycyjny nie wyraził się tak masowo, tak jasno, jak z powodu ustawy. Niemiec bowiem przyzwyczajony do ładu i porządku, do posłuszeństwa wobec wszelkiej władzy, tylko w razach nadzwyczajnego podniecenia w wyraźnej staje opozycyi.

Zresztą pocóż ustawa przewrotowa, skoro i tak za przekonania demokratyczne każdy staje pod pręgierzem i podlega wyjątkowemu prawu. Za najświeższy przykład w tym rodzaju posłużyć może dr. Arons, którego z powodu jego socyalistycznych przekonań postanowiono usunąć z katedry fizyki, którą zajmuje w uniwersytecie jako docent prywatny. Zaznaczyć przytem wypada, że dr. Arons, zdolny specyalista, nie zajmował w partyi żadnego stanowiska, że publiczne jego występy ograniczały się do chwilowych nieporozumień z partyjnym zarządem a w wykładzie fizyki już z natury samego przedmiotu na młodzież oddziaływać nie mógł. Usunięcie z uniwersytetu nie przeszkodzi mu pracować dalej naukowo, bo jest człowiekiem zamożnym, a aureola męczeństwa dopomoże zapewne do pozyskania wpływu w partyi. Oto nietakt w sprawie człowieka prywatnego, — podobny, jaki zaznaczył się w kwestyi świeżo pogrzebanej ustawy.

Rząd ma ciężką, ale nieszczęśliwą rękę!

Do objawów pomyślnych w ruchu społecznym zaliczyć niewątpliwie należy Zjazd ogólny kobiet niemieckich w Monachium w dniach 16 i 17 kwietnia. Stawiły się tu przedstawicielki dążności emancypacyjnych z północy i południa, jakkolwiek południe mniej śmiało dotąd w sprawie równouprawnienia występuje. Kobiety niemieckie dążą przecież tymczasem do usunięcia wszelkich haseł politycznych, aby uniknąć rozszczepienia się na partye i wysuwają na plan pierwszy kwestye, które ogół niewieści interesować mogę i powinny. Takie ogólne kwestye zgrupowały w Stanach Zjednoczonych 700,000 kobiet. Związek przyjmuje całe stowarzyszenia, które po za tem mają zupełny samorząd. Na wzór amerykańskich zjednoczeń i pod wpływem amerykanki Mrs. Simson, a pod przewodnictwem p. Augusty Schmidt utworzył się przed pół rokiem „Bund deutscher Frauenvereine“, który obejmuje dziś 35 tysięcy członków ugrupowanych w 60 stowarzyszeniach. Na porządku dziennym stała sprawa inspektorek fabrycznych, uznanych za niezbędne w okręgach, gdzie pracuje niemal tyle, a czasem i więcej kobiet niż mężczyzn, n. p. w Saksonii. Sprawa ta cieszy się ogólnem poparciem niewieściego świata, ale ze strony rządu nie uczyniono w tym kierunku żadnych jeszcze kroków. Mniej popularną, jakkolwiek dojrzalszą pod względem prawodawczym jest kwestya prostytucyi. Stowarzyszenia kobiece podawały już kilkakrotnie prośby o jej zniesienie, a przedstawicielki stowarzyszeń przed paru tygodniami otrzymały ustną obietnicę od naczelnika policyi, hr. Pikiel, że żądania ich zostaną uwzględnione a prawne zatwierdzenie uzyskają t. zw. „Polizeimatrone“: kobiety opiekunki dla czuwania nad upadłemi dziewczętami. Na kongresie pomimo sporu zarządu związku sprawa prostytucyi stanowiła drugi punkt dziennego porządku.

Warto tu dodać jeszcze dla dopełnienia obrazu dążności kobiet niemieckich, że obok tych dwóch spraw, poruszonych na zjeździe silniejszą staje się wśród nich agitacya przeciw alkoholowi. Zwołują zebrania, wywołują dyskusye, proszą o referaty specyalistów i *specyalistki* (kilkakrotnie przemawiała w sprawie alkoholu dr. med. Agnieszka Blubm) i rozpowszechnić się starają ruch, tak szerokiem płynący już korytem w Ameryce, Anglii i Skandynawii,

---

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M. W.**

(Ciąg dalszy.)

Stary gospodarz podzielał również zdanie, że jechać nie należało, ależ starał się już pierwej odciągnąć gości od tego zamiaru, oni jednak słów jego nie usłuchali.

— Bardzo być może zresztą, żem stał się na starość tchórzem — myślał — oni zaś dojadą szczęśliwie. I nam będzie z tem lepiej, bo o zwykłym czasie udać się na spoczynek będziemy mogli, bez żadnych kłopotów.

Pietrek także widział, że jechać niebezpiecznie i strach go ogarniał, ale nie byłby tego pokazał po sobie za nic w świecie, grał więc rolę zucha, udając, że zgoła się nie obawia, a wierszyki o tem, jak „burza mgłami niebo kryje. tumanami śniegu miecie“, dodawały mu otuchy tem, że tak wierny przedstawiały obraz tego, co się na dworze działo.

Co się tyczy Nikity, to ten wcale a wcale jechać sobie nie życzył, ale przywykł od dawna nie mieć swojej woli i słuchać innych. Słowem nikt nie zatrzymał odjeżdżających.

V.

Brechunow, zaledwie mogąc rozróżnić sanie w ciemności, zbliżył się do nich, wsiadł i ujął lejce.

— Ruszaj bracie naprzód! — zawołał — i Pietrek, klęczący w szerokich, nieokutych saniach, popuścił cugle swej klaczy. Gniadosz, który rżał do niej od dawna, szarpnął się teraz w ślad za nią i obie pary sani pomknęły na ulicę.

Jechaliż znowu poraz czwarty temiż opłotkami koło podwórza z rozwieszoną, a w ciemności nie dającą się dojrzeć bielizną; około stodoły, teraz już zawianej prawie pod sam dach; z którego śnieg wciąż sypał się i sypał bez końca; koło ponuro jęczących, świszczących i gnących się wierzb — i znowu wysunęli się na białe, z dołu i góry kłąbiące się tumanami śniegu morze. Wiatr szalał z taką wściekłością, że gdy dął w jadących z boku, niby w żagiel, wówczas sanki przechylał i konia spychał na bok. Pietrek jechał naprzód tęgim kłusem, raźnie pokrzykując, gniadosz pędził za klaczą.

Po dziesięciu minutach takiej jazdy, Pietrek zwrócił się wstecz i coś głośno do towarzyszy zawołał. Ani Brechunow, ani Nikita nie dosłyszeli słów, które wiatr w przeciwnym uniósł kierunku, ale się domyślili, że to być musi zakręt. Jakoż Pietrek zawracał w samej rzeczy konia, a na prawo zamajaczało coś czarnego. Był to właśnie krzak, oznaczający początek bocznej drogi.

— Zostańcie z Bogiem!

— Bóg zapłać, Pietrek!

— Burza mgłami niebo kryje, tumanami śniegu miecie — zawołał Pietrek i sam zniknął w białym tumanie.

— Widzisz go, jaki poeta — zażartował Brechunow i ruszył z miejsca.

— A jakże — potwierdził Nikita — dzielny z niego chłop i prawdziwy zuch.

Jechali dalej. Nikita otulił się jak mógł, głowę wetknął w ramiona i siedział milczący, starając się nie stracić ciepła, które się w nim rozwinęło podczas picia herbaty. Przed oczyma jego migały proste linie hołobli, co mu sprawiało takie złudzenie, jak gdyby jechali wybornie utartą drogą, widział dalej poruszające się tył konia z podwiązanym ogonem, a jeszcze dalej wysoką duhę i szyję końską z rozwianą grzywą i chwiejącą się wahadłowo głową. Od czasu do czasu wpadały mu w oko przydrożne wiechy, po których poznawał, że jadą tymczasem dobrze, i że on nic tu nie ma jeszcze do roboty.

Brechunow powoził, popuszczając cugle zumnemu koniowi. Ale gniadosz pomimo wypoczynku we wsi biegł niechętnie i parę razy

Istnieje też komisya, pracująca nad prawami kobiety i dzieci nieślubnych w nowym kodeksie cywilnym.

* * *

Zanim powołane pióro obszerniejsze da o wystawie sztuki sprawozdanie, zaznaczymy, że przedstawia się ona bardzo pokaźnie. Olbrzymie szeregi sal wobec otwartego jednocześnie paryzkiego salonu stanowią dowód, że artystyczna produkcya współczesna nie upada, pod względem ilości przynajmniej. Co do rodzajów malarstwa to występują one chyba wszystkie, a na tem barwnem tle jasno rysują się nowe kierunki, których samo wyliczenie jest już długim szeregiem, a ocena do specyalisty należy. Great attraction tegorocznej wystawy jest udział francuzów, którzy bardzo licznie dzieła swe nadesłali. Wśród nich pojawiły się też liczne nazwiska amerykanów, przebywających w Paryżu i hołdujących francuzkim wzorom.

Oddzielna niewielka sala poświęcona jest polskim mistrzom, Wyodrębnienie to zawdzięczamy prawdopodobnie Julianowi Fałatowi, który wystawę urządzał. Dużo tu płócien znanych już z Warszawy i Krakowa i tem sympatyczniejsze na Polakach czyniących wrażenie. Wystawiono dzieła: Augustynowicza, Badowskiego, Biernackiej, Boznańskiej Olgi, cały szereg studyów Fałata, prace Hirszenberga z Łodzi, Kochanowskiego, Kowalskiego, Wierusza, Makarewicza, Mańkowskiego, Chełmońskiego, Pilichowskiego, cudowną śmieré Ellenai i Anioła śmierci w Syberyi Pruszkowskiego. Jest i grecki obrazek Siemiradzkiego i cały prawie cykl Stachiewicza legend o Matce Boskiej, obrazki Stankiewicza, Stanisławskiego, Suchodolskiego, Styczyńskiego i wreszcie prześliczny krajobraz litewski Wywiórskiego, przed którym najwięcej zatrzymują się cudzoziemcy.

Gdy mowa o sztuce, niepodobna pominąć wydawnictwa, które przed 2 tygodniami zwróciło na siebie uwagę całego artystycznego świata w Berlinie. Jest to dwumiesięcznik „Pan“, wydawany pod redakcyą Ottona Bierbauma, organ towarzystwa artystów pod wezwaniem greckiego bożka. Zarówno pod względem treści, która ujawnić się stara nowoczesne kierunki literatury pięknej, a zaczyna od niedrukowanego ustępu z Fryderyka Nietzschego, jak części artystycznej, wszystko tu jest wytworne, piękne, arystokratyczne. Znać, że arystokracya ducha i artystycznego gustu stworzyć pragnie małe arcydzieła, któreby w niczem jej nie raziły, a dla sztuki nową stały się pobudką. W dziale sztuki spotykamy między innemi Böcklina, Liebermana i Whistlera. *S. Z. D.*

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Wiedeń, d. 15 maja 1895.

(Większość antysemitów w Radzie miejskiej. — Rezygnacya burmistrza. — Żywiec i żydzi. — Stowarzyszenie polskie. — Projekt założenia Kółka literacko-artystycznego.)

Nareszcie nadeszła dla wiedeńskiej Rady miejskiej godzina obrachunku. Przez spory kawał czasu rządzili Radą sami żydzi, czyli tak zwani przez siebie liberalni. Radca i poseł do parlamentu Lueger urządził formalną krucyatę przeciw istniejącej „korrupcyi“, i po dziesięciu latach niezmordowanej agitacyi, doprowadził do celu, — to znaczy, że większość pozyskała jego partya antysemicka. Dzisiaj wybrany został vice-burmistrzem! W parę godzin potem, obecny burmistrz Dr. Grüebl, powołał do siebie prezydyum oraz dyrekcyę magistratu i oddał w ich ręce swój urząd z nadmienieniem, że zmuszony do tego jest siłą okoliczności, które w tak smutny sposób się złożyły. Do rządu przychodzą więc antysemici, a burmistrzem zostanie zapewne Lueger. Liberalni radzcy w liczbie 34 chcą w takim razie wystąpić zupełnie z rady, co powoduje nowe wybory. Bardzo ciekawe będą te rządy, — gdyż okazuje się, że obecna opozycya, będąc w większości i przy rządzie, stwarza z ustępujących nową opozycyę, czyli, że to, co dla tych było dobre, dla tamtych będzie teraz złe i na odwrot. W każdym razie charakterystycznem jest, że antysemityzm kolosalnie się rozwija, ale równocześnie budzi nienawiść rasową chrześcian do żydów, — Niemców do Czechów i słowian w ogólności. Antagonizm ten przeniesie się niebawem i do parlamentu.

Czy znacie miasto w Galicyi, gdzie niema *ani jednego żyda?* Zywiec, po niemiecku „Saybusch“, w Tatrach, należy do takich wyjątków. Przed tygodniem wprowadził się do tego miasta Dr. Leser, kandydat adwokacki, chcąc przekonać Europę, że mu się uda stawić czoło wiekowemu zwyczajowi Żywczan, aby każdego żyda siłą z miasta wyświecać. Zaraz z rana, po nocnem przesiedleniu się, został z mieszkania wygoniony, a meble jego wywiezione aż za granice miasta na Zabłocie, gdzie żydom dozwolono zamieszkiwać. Naturalnie poturbowano mu te meble i pobito szyby gospodarzowi, który śmiał zdradzić stary zwyczaj, a stało się to wszystko tak szybko i spokojnie, że zawołani do pomocy żandarmi nie znaleźli na placu nic podejrzanego. Aresztowano wprawdzie kilku wyrostków za zbijanie szyb — ale i tych nazajutrz wypuszczono. Dr. Leser, który w Krakowie udawał socyalistę, przyjechał do Wiednia, a żydzi robią awantury i zmuszają posłów do wniesienia w parlamencie z tego powodu interpelacyi. Kronawetter i Pernerstorfer, posłowie od wszelkich reklam dla siebie, zbierają podpisy potrzebne w liczbie 50 — posłowie żydzi, odmówili swoich.

Stowarzyszenie polskie „Ognisko“ urządziło w rocznicę Kościuszki wieczorek w swoim lokalu przy Landongasse. Dziwić się wypada nieporadności młodych ludzi, a nawet pewnego rodzaju brakowi pietyzmu, że ogłaszając szumnie „koncert czy wieczorek Kościuszkowski“ — urządzają go w dwóch małych dziurach, gdzie młodzież bilard zasiada, robi niesmaczne koncepta i hałasuje podczas produkcyi. — „Ognisko“ zdaje się straciło już zupełnie pamięć dawnej tradycyi swojej, a wydział wraz z prezesem nie jest w stanie i nie potrafi rządzić stowarzyszeniem, gdzie żywiołem inteligentnym ma być młodzież akademicka. To samo powiedzieć można i o drugiem stowarzyszeniu „Strzecha“, które za protektora ma posła hr. Łosia, a za prezesa do najwyższego stopnia niesympatycznego Hofratha Twardowskiego. Trzecie stowarzyszenie „Biblioteka Polska“, mająca za zadanie kształcenie dzieci polskich w Wiedniu i utrzymywanie ducha polskości z pomocą książek i odczytów, idzie w parze z obydwoma już wymienionemi. Prezes Nowiński, najlepszych chęci zapewne człowiek, ale bez najmniejszej inicyatywy kierownik, zraził swojem postępowaniem niejednego z członków, którzy chcieli pracować i bibliotekę postawić na czele ruchu umysłowego. To też towarzystwa te prosperują tylko wzajemną admiracyą kilku starych pań i panów, — ogół trzyma się od nich z daleka.

Słyszałem, że kilku młodych literatów i artystów czując brak spójni umysłowej, ma założyć w krótkim już czasie „Kółko artystyczno-literackie“, do którego jednak tylko przez balotowanie wstęp będzie dozwolonym. Kółko to, ma stworzyć rodzaj „sekty“ dla najnowszych prądów literatury i sztuki, głosić odczyty i rozprawy i zapoznawać się wzajemnie z czynnym ruchem światowego w tym kierunku postępu. Dwóch posłów do rady państwa zakłada w Wiedniu tygodnik w powyższym duchu. Być może, że jeszcze przed czerwcem wyjdzie pierwszy numer. *Xi.*

Zamieszczając korespondencyą poniższą, zwracamy uwagę na końcowe komentarze redakcyi, odnoszące się w pewnej części również do pierwszego artykułu tego samego pióra, ogłoszonego w Nr. 17.

Wiadomości szląskie.

II.

Wypowiedzenie całej prawdy miewa zwykle

---

jakby zbaczał z drogi, aż trzeba było nim kierować.

— Tu z prawej strony jedna wiecha, tam druga, dalej trzecia — rachował Brechunow — a przed nami już i las — dodał wpatrując się w czarniejący na białem tle jakiś punkt. Ale to, co brał za las, było sobie poprostu krzakiem. Minęli go, odsunęli się dalej na jakie dwadzieścia sążni*), ale już ani czwartej wiechy, ani lasu nie było widać.

— Las powinienby tu być zaraz — powtarzał w duchu Brechunow i podniecony wódką i herbatą raz w raz uderzał gniadosza, a łagodne, dobre stworzenie biegło posłusznie to truchtem, to drobnym kłusem dokąd mu kazano, chociaż wiedział, że każą mu biedz wcale nie tam, gdzie należało. Upłynęło ponownych dziesięć minut, a lasu nie było ani śladu.

— Ha, zbłądziliśmy po raz trzeci! — zawołał Brechunow zatrzymując konia.

Nikita wyskoczył, milczący z sanek i przytrzymując ubranie, które wiatr już to przyklejał mu do ciała, już podnosił w górę i zrywał z plec, — poszedł brodzić znowu po śniegu. Skierował się wpierw w jedną, potem w drugą stronę, znikał kilkakrotnie w wirujących tumanach, nakoniec wrócił i wziął lejce z rąk Brechunowa.

— W prawo jechać należy — oświadczył surowym i stanowczym głosem, zwracając konia.

— Niech będzie i w prawo, — zgodził się Brechunow, oddając lejce i zasuwając zziębnięte ręce w rękawy. — Gdybyśmy choć do Gryczkina z powrotem trafić mogli.

Nikita nic na to nie odpowiedział.

— Wio, gniadoszu, wio! nie żałuj nóg! — wołał na niego, lecz ten pomimo uderzeń lejcami szedł stępa po głębokim, miejscami do kolan sięgającym śniegu. Nikita wydostał bat i zaciął gniadosza. Gorący, młody koń, nieprzyzwyczajony do bata, szarpnął się i pomknął kłusem, ale natychmiast zwolnił biegu, przechodząc w trucht, a potem w stępa. Jechali znowu koło pięciu minut. Było tak ciemno i tak miotło śnieg z dołu i góry, że chwilami nawet duha znikała z przed oczu, to znowu zdawało się jadącym, że sanie ich stoją nieruchome, a pole ucieka przed nimi. Nagle koń stanął jak wryty, przeczuwając widocznie coś niedobrego przed sobą. Nikita znowu wyskoczył lekko z sanek i rzucając lejce wysunął się przed konia dla zbadania czemu nie chce iść dalej. Ale zaledwie postąpił parę kroków, pośliznął się niespodzianie i stoczył po jakiejś pochyłości.

— Stój, stój! — wołał sam na siebie, padając i starając się zatrzymać, ale stanął wówczas dopiero, gdy nogi jego wbiły się w głębszą warstwę śniegu, która wyścielała dno wąwozu. Zaspa śniegu wprawiona w ruch upadkiem Nikity zsunęła się za nim, zasypując go i dostając mu się za kołnierz.

— A więc ty tak! — mówił z wyrzutem Nikita, zwracając się do zaspy i wąwozu i wytrząsając śnieg z za kołnierza.

— Nikita, hej, Nikita! — wołał Brechunow z góry, ale Nikita nic mu nie odpowiadał.

Czasu nie miał: wpierw otrząsał się ze śniegu, potem szukał bata, który wymknął mu się z ręki w chwili upadku. Znalazłszy bat, chciał się wydostać tą drogą, po której się stoczył, ale brzeg był zbyt spadzisty i po daremnych usiłowaniach ześliznął się powtórnie, poszedł więc dalej dołem, szukając dogodniejszego wyjścia. O jakie trzy sążnie dopiero od miejsca, gdzie się stoczył, udało mu się z wysiłkiem wygramolić na czworakach, poczem poszedł brzegiem wąwozu, zmierzając do miejsca, gdzie, jak mu się zdawało, koń powinienby się znajdować. Ani konia, ani sanek dojrzeć nie mógł, że jednak szedł naprzeciw wiatru, dosłyszał — wpierw nim je zobaczył — wołania Brechunowa i rżenie gniadosza, które go przyzywały.

— Idę, idę, czego chcesz — zwrócił się do konia.

Dotarłszy dopiero do sanek, zobaczył gnia-

---

*) Sążeń — miara dłuższa, cokolwiek od 5 metrów. (Przyp. tłum.)

dobre skutki. Może i u nas na coś się przyda. Chodzi najprzód o wydawnictwo kuryerowe, o którem Szan. Redakcya innego odemnie chce być zdania. „Kuryer górnoszląski“ jest to arcyciekawe i w dziejach naszego rozwoju narodowego ze wszech miar uwagi godne zjawisko. I chociaż „Gazeta Opolska“ po ukazaniu się pierwszych numerów tego pisma niejako z politowaniem mówiła o słabem, zarodki suchót w sobie noszącem dziecku i skrzętnie wyliczała zachodzące tam błędy drukarskie, to czytelnicy, a mianowicie ludzie znający sytuacyą więcej mieli obawy o tego trzechletniego chłopca Opolskiego, który jeszcze ani biegać, ani mówić nie umiał, aniżeli o nowonarodzonego suchotnika. Sytuacya bowiem była taka, iż potrzeba podobnego pisma ogólnie była odczuwaną. Od dosyć dawna życzono sobie nawet w kołach, które nasi prowodyrowie do swoich zaliczają pisma, któreby nie karmiło swoich czytelników tylko anonsami i wiadomościami o towarzystwach, ale poświęcało się rzetelnie domowym sprawom, przedewszystkiem socyalnym i ekonomicznym. Bo mówiono zupełnie słusznie, iż życie narodowe może się dopiero na silnej podstawie materyalnej zdrowo i pomyślnie rozwinąć.

W tym kierunku jednak szlązacy sami najskuteczniej mogą pracować. Wobec takiego usposobienia inteligencyi szląskiej byłby „Kuryer“ został z radością powitany i mając wszystkie lepsze siły za sobą, byłby mógł sobie wyrobić stanowisko poważne i stać się organem ton nadawającym, lecz niestety powstał w bardzo niefortunnym czasie walki wyborczej i pod bardzo niekorzystną marką. Do szeregów swoich przyjął gorliwych germanizatorów i odtrącił od siebie większą część patryotycznie usposobionej inteligencyi i chybił w ten sposób zupełnie celu, bo nie połączył inteligencyi szląskiej do wspólnej pracy, ale ją rozdzielił. Wśród takich dla siebie niekorzystnych okoliczności powstał „Kuryer“, i stare pisma nasze mogłyby mu zupełnie odebrać grunt pod nogami, gdyby były zrozumiały ideę, którą „Kuryer“ może się stać dla nich niebezpiecznym, i wyciągnęły dla siebie tę naukę, iż trzeba pracować w więcej pozytywnym kierunku nad podniesieniem materyalnem ludu, nie spuszczając z oka także poważniejszych kwestyi narodowych. Tymczasem cóż się dzieje? „Kuryer“ zaczyna pojmować swe zadanie i wchodząc na drogę właściwą zjednywa sobie coraz więcej zwolenników, zaś stare nasze gazety pracują na jego korzyść, otwierając łamy swoje zbyt szeroko skargom i żalom owych już przeszłą razą scharakteryzowanych patryotów, którzy zamiast zarabiać szydłem, igłą lub łokciem na chleb powszedni i pomnażać w ten sposób majątek narodowy, radziby zakładali narodowe instytucye, jak bank polski, organizowali towarzystwa, zwoływali wiece itd. sądząc w świętej prostocie, iż oni to popychają sprawę narodową naprzód, nawet wbrew woli kleru. U Polaków częściej spotyka się taki fałszywy i wielce szkodliwy patryotyzm. My musimy na Szląsku szerzeniu jego zapobiegać i takim „wielkim ludziom do małych interesów“ wskazać drogę ich działalności, bo inaczej tego dożyjemy, iż skoro będą myśleli, że sprawę narodową popchnęli dosyć naprzód, nabiorą pretensyi zostania posłami. No, i wtenczas Polska uratowana! Co by to było za szczęście dla Szląska, gdyby polscy posłowie w Raciborskiem byli zwyciężyli, gdyby p. R. podobnie jak P. Segiet w Berlinie był zaczął wielkie mowy odczytywać, a w końcu dodał, że jest pierwszym reprezentantem nowej partyi polsko-ludowej. To zapewnie sprawa nasza narodowa zyskałaby na reputacyi, pytanie tylko u kogo! Nie godzi się spraw poważnych tak lekkomyślnie traktować. Popierać kandydaturę Szmuli było obowiązkiem uczciwych i sprawiedliwych ludzi; wybierać Strzodę zamiast Letocha było bardzo zrozumiałą rzeczą, ale nie mieć odpowiednich kandydatów a chcieć polskich posłów, jak w Raciborskiem, to jest zgorszeniem publicznem. Jak wielką zaś szkodę takie publiczne zgorszenie społeczeństwu przynieść może, odczuwamy u nas dotkliwie już z tego jednego wypadku.

Społeczeństwo rozbite, siła inteligencyi rozdzielona. Czyż nie lepiej byłoby pracować najprzód nad wyrobieniem odpowiednich na polskich posłów osobistości, aniżeli stawiać komiczne figury na kandydatów, które w razie zwycięztwa sprawę narodową chyba ośmieszyć są zdolne. Na tej drodze bawienia się w wielką, hałaśliwą politykę najmniej się możemy przysłużyć sprawie narodowej, która się wolno i systematycznie rozwijać musi.

X. Jacek Kamieński.

* * *

Uwagi redakcyi.

Zamieszczając powyższą korespondencyę, zwracamy Szan. autorowi przedewszystkiem uwagę na to, że, z wyjątkiem sprawy wyborczej w Raciborskim powiecie, wyraża się trochę niejasno i niewyraźnie, że pobieżnie szkicuje jakieś towarzystwa i koła ludzi niedorosłych zadaniu narodowej pracy, a ani ich nie mianuje, ani nawet nie charakteryzuje tak, iżby Czytelnicy korespondencyi własne zdanie o nich i o całem dzisiejszem położeniu na Szląsku wyrobić sobie mogli.

Szan. Korespondent stara się jak najwidoczniej zaznaczyć pewne przeciwieństwo pomiędzy rodzimą inteligencyą szląską. — a pewnemi [illegible]wowemi kołami pseudo-inteligencyi polskiej „od igły, szydła i łokcia“, zdaniem jego bardziej szkodliwej dla sprawy szląskiej, aniżeli pożytecznej. Wypowiedział to Szan. Korespondent tak ogólnikowo, że dla wyjaśnienia prosimy o bliższe określenie nam zarówno tej inteligencyi rodzimej jak i pseudo-inteligencyi napływowej. O ile nam wiadomo, a powtarzamy raz jeszcze, że znamy stosunki szląskie bardzo dobrze, to właśnie inteligencya szląska z nielicznemi a odosobnionemi wyjątkami, wcale prawie jeszcze w toczącej się obecnie walce narodowościowej znaku życia nie dała, a z drugiej strony znowu nie mamy pojęcia o owych kołach ludzi od „igły, szydła i łokcia“, którzyby niedojrzałym swym rozumem pragnęli zbawić polskość na Szląsku, a co gorsza, upiec pieczeń własnej chwały przy ogniu niedoli szląskiego ludu. Polska po za Szląskiem tak mało bowiem dostarcza Szląskowi właśnie ludzi od igły, szydła lub łokcia, że absolutnie dopatrzeć się nie możemy, gdzieby się już podobne silniejsze liczbą i znaczeniem koła tego rodzaju ludzi skupić i większy wpływ na sprawy publiczne uzyskać miały?

Szan. Korespondent zdaje się być niezadowolonym z kierunku i pracy trzech pierwszorzędnych pism szląskich, „Katolika“, „Gazety Opolskiej“ i „Nowin“, i zarzuca im pod kwiatkiem, że albo zanadto dbają o własny interes, albo też bawią się w politykę zbyt hałaśliwą, i że przez to *odstręczają* rodzimą inteligencyę Szląska i pchają ją w objęcia „Kuryera Górnoszlą kiego“. I tego zdania podzielać wcale a wcale nie możemy. Jeżeli inteligencya, wyrosła z pośród ludu polskiego na Szląsku, nie zdobyła sobie dotychczas należącego jej się w sprawach politycznych stanowiska wybitniejszego, jeżeli lud i dziś jeszcze bardziej jakoś ufa napływowym kołom Wielkopolan od „szydła, igły i łokcia“, aniżeli inteligencyi rodzimej, to własna to jej wina. Nam się zdaje, że właśnie rodzima inteligencya Szląska za mało wyraźnie dotychczas zamanifestowała *polskość swoją*, za mało w ogóle bierze udziału w sprawach publicznych, iżby lud z nią się mógł liczyć lub jej przywództwo swej sprawy powierzyć. Inteligencya rodzima polskiego Szląska jest w ogóle, że się tak wyrazimy, za mało produktywną i nawet w własnych kołach, wśród żywiołów pod względem narodowym nieprzekonanych lub obałamuconych za mało działa, za mało zresztą w ogóle daje gwarancyi, że sama wytrwa do końca przy sztandarze narodowym. Więc też i pisma polskie na Górnym Szląsku dziś przedewszystkiem na *ludzie* opierać się muszą i nie mogą dla pozyskania tej lub owej *jednostki* z inteligencyi, zmieniać kierunku swego, wytkniętego najwyraźniej względami na dobro sprawy polskiej. [illegible]opolska z chęcią też wszelkiemi siłami popierać będzie inteligencyą rodzimą na Szląsku, — ale nie widząc jej, — naturalnie czynić tego nie może. A to zapewne raczy Szan. Korespondent przyznać, że inteligencya polska na Szląsku dotychczas ani słowem ani czynem nie zamanifestowała

---

dosza i stojącego obok Brechunowa, który wydawał się olbrzymim.

— I gdzieżeś to u djabła zaprzepaścił się? Zawracać trzeba, abyśmy na noc choć do Gryczkina przynajmniej wrócić mogli — napadł gniewnie na Nikitę gospodarz.

— Ha, radbym i ja wrócił, ale którędyż jechać? Taki wąwóz przed nami, że jakbyśmy tam wpadli, to i wydostać się byłoby niepodobieństwem.

— Więc cóż, mamy tak stać bez końca? W którąbądź stronę, a jechać trzeba.

Nikita ujął posłusznie lejce i popędził konia wzdłuż wąwozu. Nie ujechali jednak i stu kroków, gdy koń znowu stanął: przed nim była inna jakaś spadzistość.

I znowu Nikita chodził długo we wszystkich kierunkach, zapadając w śnieg, podnosząc się i powtórnie padając. Wrócił nakoniec, ujął konia za cugle i skierował w zaspę śniegu. Gniadosz opierał się z początku, a potem szarpnął, chcąc zaspę przesadzić, ale sił mu zabrakło i pogrążył się w śnieg po szyję.

— Wysiadaj! — zawołał Nikita na gospodarza i uchwyciwszy hołoblę, ciągnął sanie w kierunku konia. Gniadosz, zachęcony jego głosem, szarpnął się raz i drugi, ale nadaremnie i znowu zapadł głębiej. Teraz strzygł uszami i wąchał śnieg, jakby się nad czemś namyślając.

— Wio! dalej, naprzód! — wołali jednocześnie Nikita i Brechunow, ciągnąc za obie hołoble. Koń poruszył wpierw głowę, a potem szarpnął się gwałtownie raz, drugi, trzeci, wynurzył ze śniegu i stanął, ciężko sapiąc i otrząsając się. Nikita wziął go za cugle, sprowadził o dziesięć kroków w dół i zatrzymał w miejscu, zasłoniętem nieco od wiatru niewielką wypukłością ziemi. Tu, zdjąwszy rękawice, pochuchał przez chwilę w palce i zaczął odwiązywać rzemienie.

— Co robisz? — zawołał Brechunow.

— A cóż mam robić? Wyprzęgam. Siły już nijakiej nie mam w ciele — mówił Nikita, jakby się usprawiedliwiając.

— A nie moglibyśmy dotrzeć do jakiej siedziby ludzkiej?

— Nigdzie już nie dojedziemy, a tylko konia zajeździmy. Wszak on i teraz już sam do siebie niepodobny — odparł Nikita, wskazując ręką na stojącego pokornie, na wszystko gotowego i ciężko robiącego mokremi bokami gniadosza. — Tutaj nocować trzeba.

— A nie grozi nam zmarznięcie? — pytał Brechunow.

— Ha, cóż robić? Może i zmarzniemy. I takie wypadki chodzą pomiędzy ludźmi — odparł Nikita.

VI.

Ubranemu w dwa futra gospodarzowi ciepło było zupełnie, zwłaszcza teraz po gwałtownem szamotaniu się w zaspie śniegu, lecz dreszcz przebiegł mu po plecach na myśl, że wypadnie całą noc spędzić w polu. Chcąc się uspokoić, wsiadł do sanek i począł wydostawać z kieszeni papierosy i zapałki.

Nikita wyprzęgał tymczasem konia.

— Wychodź, wychodź — mówił, wyprowadzając gniadosza z pomiędzy hołobli. — Przywiążę cię oto tak. Słomy podłożę, wędzidło wyjmę — tłumaczył, wcielając jednocześnie słowa w czyn. Zakąsisz sobie i zaraz będzie ci weselej.

Ale słowa Nikity nie uspakajały widocznie gniadosza, który wciąż okazywał trwogę, przestępując z nogi na nogę, przyciskając się do sani, obracając tyłem do wiatru, trąc łeb o rękaw Nikity.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

potrzeby takiego poparcia, że w ogóle wcale a wcale nie stara się choćby tylko o zawiązanie jakichkolwiek stosunków z inteligencyą wielkopolską.

A już najbardziej błądzi inteligencya polska na Szląsku, — przynajmniej ta jej cząstka, którą Szan. Korespondent bierze w obronę, — jeśli spodziewa się zbawienia idei polskiej ze strony „Kuryera Górnoszląskiego“. Co do tego, to już łudzić się nie powinna. Szan. Korespondent sam przyznaje, że między założycielami „Kuryera“ byli zdeklarowani germanizatorzy. To chyba najwymowniej charakteryzuje posłannictwo jego. A przecież „Kuryer Górnoszląski“ po dziś dzień się nie zmienił, — chyba może stał się zręczniejszym w ukrywaniu właściwych swych celów, — po dziś dzień znajduje się w rękach tych samych osób, które stały nad kolebką jego, pod tą samą nominalną wychodzi redakcyą, która nie tak dawno temu dała w łamach jego przytułek pismu pewnego kapłana, żalącego się na polskich redaktorów z Poznańskiego, iż *oni to wnieśli na Szląsk górny ideę narodową!* „Kuryer Górnoszląski“ jest w gruncie rzeczy i dziś jeszcze takim, jakim był, a nawet ze względu na tych, którzy go utrzymują *nie może być innym*, więc dziwić się tylko trzeba, że tak Szan. Korespondent jak i inteligencya polska na Szląsku jeszcze czegoś dobrego dla sprawy ze strony tego pisma się spodziewają.

Żałujemy bardzo, że wobec tak ogólnikowego omówienia kwestyi przez Szan. korespondenta i my dziś na ogólnikowej odpowiedzi ograniczyć się musimy. Ale powrócimy jeszcze do przedmiotu tego, spodziewając się, że Szan. Korespondent nie omieszka przemówić wyraźniej.

Jedynym faktem, na który wskazał Szan. Korespondent, — są wybory w Raciborskiem. Przywódzców tamtejszego ruchu polskiego spotyka z jego strony zarzut, że zbyt lekkomyślnie wysunęli przy ostatnich wyborach na kandydatów ludzi zupełnie nieodpowiednich, i że przez to, zdaniem jego, — wywołali skandal polityczny i sprawie zaszkodzili, bo ją *ośmieszyli*. Co do tego, to już zupełnie innego jesteśmy zdania. Kandydaci raciborscy nie byli Wielkopolanami, ale rodowitymi Szlązakami, mężami, którzy tak samo dobrze, jeżeli nie lepiej, spełniać mogli obowiązki poselskie, jak spełniają je pan Strzoda lub pan Klose, — obaj włościanie bez wyższego wykształcenia, a w każdym razie lepiej, niż pan Hoffmann z centrum, który niedawno temu, jakkolwiek Niemiec rodowity, nie umiejąc nawet odczytać swej mowy, wywołał huczną wesołość w sali parlamentu, — lub jak wspomniany przez Szan. Korespondenta pan Segeth z Raciborza. Jeźli centrum nie waha się przyjąć do swego grona ludzi, jak pp. Strzodę i Hoffmanna, a stronnictwo wolnokonserwatywne takich, jak pan Segeth, dla czegoż lud szląski w Raciborskiem nie miał postawić kandydatury panów Roboty, Siary i Gąsiora? A przecież np. między panem Strzodą a kandydatami raciborskimi ta wielka, a na korzyść ostatnich przemawiająca zachodzi różnica, że kandydaci raciborscy *stanęli od razu na gruncie polskim*, podczas gdy o panu Strzodzie i dziś jeszcze nie wiadomo, jakie są jego przekonania co do sprawy narodowego odrodzenia Szląska! Jeźli zaś kandydaci raciborscy nie odpowiadali wymarzonemu przez Szan. korespondenta ideałowi posła, to przecież tego zaprzeczyć nie zechce, że mogli się byli łatwo wyrobić, i niezawodnie byliby się wyrobili na posłów ludowi polskiemu wielce pożytecznych, jak się na dobrych posłów wyrobili pp. Metzner i Klose, z tych samych warstw społecznych pochodzący. Wiemy zresztą z najlepszego źródła, że przywódzcy polskiego ruchu w Raciborskiem starali się usilnie o kandydatów z wyższej inteligencyi polskiej na Szląsku, — ale inteligencya ta — przepraszamy za wyrażenie — wtedy haniebnie stchórzyła, i nie znalazł się pośród niej ani jeden mąż, któryby odważył się ściągnąć na siebie skoncentrowany ogień przeciwników, jak to z godną uznania odwagą uczynili ludzie z ludu, — tak przez Szan. Korespondenta potępiani. Posiadali oni zatem jeden, w każdej walce politycznej tak niezbędny przymiot — odwagę cywilną, tym przymiotem wynieśli się wysoko ponad zastęp rodzimej inteligencyi szląskiej, która właśnie na tym punkcie chroma najbardziej! Jakże więc można ten tak piękny objaw samodzielności i odwagi ludu, który nawet opuszczony przez własną inteligencyę nie stracił ducha, nazywać skandalem politycznym?

Wiemy z dobrego źródła, jak szczerą i wielką sympatyą okazywał dawniej Szan. Korespondent ruchowi raciborskiemu nawet w najkrytyczniejszych jego chwilach, gdy chodziło o osobę księcia Biskupa Wrocławskiego. Ruch ten w niczem się nie zmienił, z jakiejże tedy przyczyny Szan. Korespondent dziś inaczej się na ruch ten zapatruje?

Sprawa szląska jest dla całego społeczeństwa polskiego sprawą niezmiernej wagi, sprawą piekącą. I my powrócimy jeszcze do niej w obszerniejszych artykułach, skoro Szan. Korespondent wyraźniej wypowie swe skargi. Dziś tylko wyrażamy żal nasz, że właśnie z tej ostatniej jego korespondencyi przebija się widocznie nieszczęsny duch partykularyzmu szląskiego, tego największego wroga pomyślnego rozwoju idei polskiej na Szląsku.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Frekwencya wyższych szkół w Prusiech w latach 1872—1892.

Z szczególniejszem uwzględnieniem prowincyi przez ludność polską zamieszkanych.

Napisał
Romuald Łazęga.

W historyi rozwoju wyższych szkół w Prusiech ostatnich lat dwudziestu należy nam odróżniać trzy wybitne okresy:

1. okres ministra Falka i tworzące poniekąd przyczepkę do niego ministerstwo Puttkammera.
2. okres ministra Gosslera do r. 1892.
3. okres ministra Gosslera i jego następców po r. 1892.

W pierwszym okresie szkólnictwo wyższe żadnych zmian zasadniczych nie doznało. Dogmat o niezrównanej wartości gimnazyum klasycznego, jako szkoły normalnej dla młodzieży wyższych stanów, trwał w dawnej sile i główne zabiegi naczelnych władz szkólnych skierowane były ku pomnożeniu i ulepszeniu tego rodzaju zakładów.

Drugi okres przyniósł nam reformę szkólną z r. 1893. Reforma ta zmian radykalnych nie dokonała, ale przebija się w niej tendencya do zbliżenia dwóch głównych kategoryi wyższych zakładów naukowych tj. gimnazyum i szkoły realnej I-go rzędu, która odtąd otrzymuje nazwę gimnazyum realnego. Ważniejszym o wiele owocem tej reformy było jednakże uregulowanie stosunków szkół, mających na względzie przysposobienie młodzieży do zawodów praktycznych. Wyższe zakłady realne bez łaciny i tak zwane szkoły obywatelskie otrzymują stałe plany i ściśle określone prawa.

Reforma szkolnictwa wyższego w r. 1892 wyszła, jak rzecz wiadoma, z inicyatywy samego cesarza i zdawała się w stosunkach szkolnych zapowiadać przewrót radykalny. W rzeczywistości i ona prócz pewnych ulepszeń wewnętrznych zmian wielkich nie przyniosła. Natomiast na konferencyi berlińskiej zarysowała się bardzo wyraźnie niechęć przeciwko gimnazyum realnemu, które nietylko rozszerzenia praw nie uzyskało, ale o byt swój stoczyć musiało uporczywą walkę. Równocześnie uwydatniła się wielka przychylność ku wszelkim innym rodzajom szkół realnych, które też odtąd rość poczynają w liczbę i znaczenie.

Stosunki te odbijają się bardzo wyraźnie w frekwencyi szkół wyższych w tym czasie. Uczęszczało bowiem w przecięciu rocznem uczniów wogóle:

Tab. 1.)*

w latach:	do gimn. klas.	do gimn. realnych.	do innych zakł. realnych.	t. j. na 100 uczniów szkół wyższych było w gim. klas.	w gim. real.	w inn. zakł. realn.
1872-3—1875-6	67161	30970	15836	58,94	27,18	13,88
1876-7—1880-1	73401	27555	19011	61,20	22,97	15,83
1881-2—1885-6	82035	25390	22394	63,24	19,51	17,26
1886-7—1890-1	81252	24963	27412	60,80	18,69	20,51
1891-2—1892-3	79125	24817	32150	58,15	18,23	23,62

Z powyższej tabeli wykazuje się dowodnie, iż frekwencya gimnazyów klasycznych zwiększała się stale tylko do r. 1885. Od tego czasu poczęła ona znów upadać, a w czasach ostatnich relatywnie spadła nawet poniżej cyfry, jaką wykazują lata 1872-3—1875-6.

W gimnazyach realnych liczba uczniów i absolutnie i relatywnie zmniejszała się stale, natomiast równie stale zwiększała się we wszelkich innych wyższych zakładach realnych.

Pomiędzy uczniami było:

Tab. 2.

w latach:	ewangielików.	katolików.	żydów.	a zatem 1 uczeń przeciętnie na głów ludności u ewang.	katol.	żydów.
1872-3—1875-6	77627	21582	9758	210	391	34
1876-7—1880-1	86804	21610	11553	197	412	32
1881-3—1885-6	93476	23991	12662	192	393	30
1886-7—1890-1	95191	26829	12050	197	371	31
1891-2—1892-3	95607	28555	11930	201	359	31

Cyfry te mówią same przez się dość wyraźnie i dla tego wstrzymuję się od wszelkich uwag.

---

*) Powyższa tabela o tyle jest niedokładną, że nie obejmuje synów dysydentów. Ponieważ jednakże uczniów tego rodzaju przypadało mniejwięcej 2 na 1000, przeto niedokładność ta jest minimalną i nie zmienia bynajmniej obrazu rzeczy. Cyfry zestawione są podług frekwencyi w półroczach zimowych odnośnych lat. Do gimnazyów klasycznych zaliczeni są także uczniowie progimnazyów.

Podług poszczególnych kategoryi zakładów było:

Tab. 3.

w latach:	w gimnazyach klasycznych: ewan-gielików	kato-lików	żydów	w gimnazyach realnych: ewan-gielików	kato-lików	żydów	w innych szkołach realnych: ewan-gielików	kato-lików	żydów
1872-3—1875-6	44662	16448	6051	26660	2983	2327	12305	2151	1380
1876-7—1880-1	49985	15854	7562	21998	3190	2367	14821	2566	1624
1881-2—1885-6	56700	17159	8176	20240	2872	2188	16536	3960	1898
1886-7—1890-1	55130	19183	7383	19593	3049	2321	20469	4597	1683
1891-2—1892-3	51715	20471	6939	19374	3135	2308	24518	4949	2683

czyli 1 uczeń na głów przeciętnej ludności:

Tab. 4.

w latach:	w gimnazyach klasycznych n: ewan-gielików	kato-lików	żydów	w gimnazyach realnych u: ewan-gielików	kato-lików.	żydów	w innych szkołach realnych u: ewan-gielików	kato-lików	żydów
1872-3—1875-6	366	514	55	790	2892	143	1328	3927	241
1876-7—1880-1	343	562	46	779	2795	149	1156	3474	217
1881-2—1885-6	316	549	45	886	3278	167	1085	2377	192
1886-7—1890-1	340	518	50	956	3259	159	915	2162	157
1891-2—1892-3	372	501	54	993	3270	161	785	2071	139

U wszystkich wyznań widzimy zatem wzrastanie liczby uczniów i absolutnie i względnie w trzeciej kategoryi szkół t. j. w szkołach, które przysposobienie młodzieży do wyższych zawodów praktycznych mają za zadanie. Zdaje się zatem, iż tym właśnie szkołom wielka przyszłość jest przeznaczona, co zresztą odpowiadałoby intencyom rządu pruskiego, który pragnąc zapobiedz dalszemu wzrostowi uczonego proletaryatu, na te właśnie szkoły w czasach ostatnich szczególniejszą zwrócił baczność. W innych rodzajach szkół widzimy tylko stałe wzrastanie liczby katolików w gimnazyach klasycznych i niemniej stałe ubywanie liczby ewangielików w gimnazyach realnych.

Co się specyalnie tyczy prowincyi przez ludność polską zamieszkanych, to było w szkołach wyższych uczniów wogóle:

a) w Prusach Zachodnich:

Tab. 5.

w latach:	w gimnazyach klas.	w gimnazyach realn.	w innych zakład. realn.	czyli na 100 uczni było: gimn. klas.	gimn. realn.	innych zakł. r.
1872-3—1875-6	—	—	--	—	—	—*)
1876-7—1880-1	4271	1447	683	66,72	22,60	10,68
1881-2—1885-6	4234	1199	594	70,25	19,89	9,86
1885-6—1890-1	4134	950	641	72,23	16,59	11,18
1891-2—1892-3	3943	800	1120	67,25	13,64	19,11

*) Prusy Zachodnie jako odrębna prowincya urządzone zostały dopiero 1877 roku.

b) w Poznańskiem:

Tab. 6.

w latach:	w gimnazyach klas.	w gimnazyach realn.	w innych zakł. realn.	czyli na 100 uczni było w gimn. klas.	gimn. realn.	innych z. real.
1872-3—1875-6	4597	1459	nie było.	75,90	24,10	nie było.
1876-7—1880-1	4464	1364		76,59	23,41	
1881-2—1885-6	4943	1191		80,58	19,42	
1886-7—1890-1	4900	1114		81,48	18,52	
1891-2—1892-3	4777	937		83,60	16,40	

c) na Szląsku:

Tab. 7.

w latach:	w gimnazyach klas.	w gimnazyach realn.	w innych zakł. realn.	czyli na 100 uczniów było w gimn. klas.	gimn. realn.	innych zakł. r.
1872-5—1875-6	10667	2952	579	76,87	21,28	1,85
1876-7—1880-1	11066	2634	1578	72,43	17,25	10,32
1881-2—1885-6	10943	1949	2189	72,54	12,92	14,54
1886-7—1890-1	10599	1787	2707	70,18	11,84	17,98
1891-2—1892-3	10022	1729	2821	68,61	11,86	19,53

Najwięcej do przeciętnego typu szkół wyższych w państwie pruskiem zbliżają się szkoły na Szląsku. I tu bowiem frekwencya zakładów, na przysposabianie do wyższych zawodów praktycznych obliczonych, zwiększa się stale kosztem gimnazyów klasycznych, a więcej jeszcze gimnazyów realnych, których frekwencya stale się zmniejsza.

Najsmutniej przedstawia się sprawa wyższego wykształcenia w Księstwie Poznańskiem. Tu bowiem zakładów dla stanu średniego przeznaczonych niema wcale. A że gimnazya realne, nie dające uprawnienia do zawodów wyższych i spełniające zadanie przysposobienia młodzieży do zawodów praktycznych w sposób nieodpowiedni, nie mogą przedstawiać zbyt wielkiej ponęty, przeto naturalnym sposobem, wbrew ogólnemu rozwojowi szkólnictwa w państwie pruskiem, rośnie stale frekwencya gimnazyów. To ukształtowanie rzeczy na polu szkólnictwa wyższego w Księstwie Poznańskiem odpowiada zresztą w zupełności stosunkom tej naszej prowincyi. Nie ma tu bowiem ani wysoko rozwiniętego przemysłu, ani ożywionego ruchu handlowego, a zatem i w stanie średnim nie objawia się ani pragnienie, ani potrzeba wyższej oświaty. Kto zaś z włościan i drobnych mieszczan oddaje syna do szkół wyższych, czyni to zazwyczaj w nadziei ujrzenia go kiedyś księdzem, do czego, jak rzecz wiadoma, jedynie gimnazyum klasyczne otwiera wrota.

Prusy zachodnie, jak wykazuje tabela 5, pod względem rozwoju szkólnictwa wyższego pomiędzy Szląskiem a Księstwem pośrednie zajmują miejsce. Są w nich zakłady do praktycznych zawodów przysposabiające, jeszcze młode, ale pomyślnie rozwijające się kosztem gimnazyów klasycznych i realnych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA WYŁOMIE.

(*Historyczny artykuł. — Kilka kujawiaków. — Wojna. — Elastyczność zasad. — Zdarzenie prawdziwe.*)

Zaczynam pytaniem: Wiecie, co to jest poważny artykuł poważnego czasopisma? Uśmiechacie się pogardliwie i spoglądacie na mnie z tak wojenną miną, jak gdybym profe-

sorskim tonem rzucił wam pytanie: Ile palcy u ręki i nogi posiada człowiek normalny?

Cierpliwości! najmilsi. Przekonam was natychmiast, że interpelacya moja nie zasługuje na miano zuchwalstwa, bo i wy może nie wiecie i ja nie wiedziałem. Wielką tę nowość zwiastował nam dopiero najpoważniejszy z poważnych organów „Dziennik Pozn.“

Przypominacie sobie niezawodnie proces „Gońca Wielkop.“ z „Wielkopolaninem“ i stronniczy referat z rozprawy sądowej, zamieszczony w „Dzienniku Poznańskim“. W końcowych wierszach sprawozdania tego zapowiadał organ *poważny* majestatycznie, że poświęci nazajutrz stosunkom dziennikarstwa naszego obszerny artykuł, a dnia następnego oświadczył, że *poważne* uwagi swoje odkłada dla braku miejsca do przyszłego numeru. Ciekawość była naprężona, zainteresowanie ogólne. Spodziewano się, że „Dziennik“ rozwinie obraz prasy poznańskiej, że wykaże przyczyny, wpływające na demoralizacyą stosunków naszych, i lubo przedstawi siebie samego z białemi skrzydłami anioła, to przecież odsłoni niejedno źródło choroby i wskaże skuteczną terapję. Wreszcie w dniu 10 maja o godz. 5 po obiedzie przynoszą mi wielką bibułę. Rozwijam i na drugiej stronnicy znajduję dwułamowy artykuł: „Uwagi z powodu polemiki dziennikarskiej“. Co to jest? Na wstępie etymologia. „Polemika“ pochodzi z greckiego „polemos“, — „polemos“ znaczy wojna, ztąd „polemarchos“. Następnie nieco historyi i historycznych anegdot: Skarga był dzielnym polemistą, listy Juniusa są wzorem polemiki. A w końcu — Boże! chce mi się tańczyć kujawiaka, a tu jak na złość żałoba narodowa. „Dziennik poznański“ bowiem dla scharakteryzowania polemiki fałszywej wyśpiewuje pół łama kujawiaków i poezyi Rozbickiego:

„Bujałem ja coraz wyżej
Aż bujaczka pękła,
To ci, bracie, było śmiechu,
Jak Maryśka brzdękła“.

a dalej znów:

Coś na wodzie płynie w znak,
„Czy to ryba, czy to rak?“
Zapytał się kozy wieprz,
Koza mówi, że to pieprz.“

I tak dalej o musze i bocianie, o kawie i cukrze i koniec. To się nazywa poważny artykuł poważnego czasopisma w palącej sprawie domowej, a wobec tego nie weźmie mi chyba za złe kolega z Św. Marcina, że do zbioru jego redakcyjnych kujawiaków ośmielę się wspaniałomyślnie kilka zwrotek dorzucić:

Co to „Dziennik“? pytał Grzela
Z obliczem wesołem,
Rzekł mu na to gruby Maciek:
„Baba pod kościołem“.

Nie puściła flinta Kubie
Raz, drugi i trzeci,
Jak ci „Dziennik“ strzeli piórem,
Zaraz bąk wyleci.

Zapytał się baran owcy,
Czemu smutnie beczy?
Ona na to: Bo mi „Dziennik“
Nad uszami skrzeczy.

Na życzenie gotów jestem dostarczyć jeszcze całe legiony podobnych piosneczek, aby „organ poważny“ nie był w ambarasie, gdy zabierze się znowu do pisania „poważnych artykułów“. Tymczasem zaprezentuję czytelnikom moim inny kwiat o niezrównanej barwie i woni, wyrosły na zagonach poznańskiego dziennikarstwa. Prowadzę was znowu na ulicę Św. Marcina, tylko nieco dalej pod górę, wśród gruzów zrujnowanego bruku, uciekającego na łeb i szyję przed zwycięzkim asfaltem. Pył, hałas i głuchy łoskot młotów, a na chodnikach stają grupy ludzi i podziwiają arcydzieło Faraonów poznańskich. Wreszcie jesteśmy u celu. Przed nami redakcya „Kuryera“, z czeluści dolatuje huk bomb i grzechot karabinów. Orda „Kuryerowa“ wyruszyła w pole i z okrzykiem: „Śmierć Krzymińskiemu!“ wali na Kujawy.

Wojna! Poseł inowrocławski odważył się w liście otwartym przedstawić wyborcom swoim credo polityczne i przed Koranem „Kuryera Poznańskiego“ nie uchylił czoła. „Niewierny“! wrzasli synowie proroka i wnet wielki wezyr szyki swoje sprawił. Nie będę opiewał dziejów świętej wojny, bo codzienna prasa ogłosiła już światu wielką epopeję, ale ku wiecznej pamięci zapisuję kilka ustępów tej walki, a raczej dyalog między „Kuryerem“ a Kołem polskiem.

Posłuchajcie:

„*Kuryer Pozn.*“: Do porządku wołamy pana Krzymińskiego, bo wara posłom odzywać się do wyborców swoich, wara tym mianowicie, którzy na posiedzeniach Koła nigdy nie bywają i o polityce wiedzą tyle, co wilk o astronomii.

Koło polskie: Wiadomość, że poseł Krzymiński nie uczęszcza na posiedzenia Koła jest z gruntu fałszywą.

„*Kuryer Pozn.*“: Prosimy o statystykę. Mamy do tego prawo, bo nawet uczniowi zapisują w cenzurze, ile godzin zmudził, a poseł Krzymiński stoi w oczach naszych na równi z szkolnym młokosem.

Kwintesencyą powyższego dyalogu określić nie trudno. „Kuryer Pozn.“ posądza niedwuznacznie „Koło polskie“, że w interesie posła-kolegi poświęciło prawdę i reprezentantowi narodu dyktuje taką kuratelę, która tylko w szkołach niższego rzędu jest praktykowaną, a na którą już student uniwersytetu spogląda z pogardą.

Gdyby do podobnych zarzutów i żądań posunęło się czasopismo jakie „z cechu warchołów“ nie kusiłbym się o krytykę tego *pro* i *contra*, ale jeżeli zważymy, że wojna rozegrała się w łamach organu, który kult powagi poselskiej uznał za pierwsze z politycznych przykazań i starał się wszystkiemi siłami ośmieszyć demokratyczny postulat odpowiedzialności posłów wobec społeczeństwa a każdą opozycyę piętnował mianem junakeryi, publicznego rozboju lub zdrady narodowej, — wtedy ujawni się tak drastycznie elastyczność wszystkich zasad Kuryerowych, że majestat „ładu i porządku“ w proch się rozsypie. I któż wy jesteście, dla których etyczne formułki odgrywają rolę kapeluszy: Dziś cylinder, jutro dżokejka, a pojutrze wielkie rondo à la Rinaldini! Któż wy jesteście, apostołowie posłuszeństwa, zgody i czci autorytetów, — kapłani taktu i przyzwoitości, — heroldzi pietyzmu dla narodowych wybrańców? Wszystko jest szychem i dekoracyą przystosowaną do chwilowej potrzeby, a ręka błogosławiąca „powagom“ w pięść się skręca natychmiast, gdy bożyszcze według waszej nie rządzi komendy. Niegdyś w imię katolicyzmu wy sami zrywaliście solidarność narodową i rozłam przy urnie wyborczej stroiliście blaskiem bohaterstwa, dziś garść ludzi, nieginających karku pod jarzmo wasze, piętnujecie mianem rozbójników. I czciliście Koło polskie, dopóki wy a ono była jedna całość, ubóstwialiście autorytet poselski, dopóki waszemi stąpał manowcami, a kto na poklask zdobyć się nie umiał, był w oczach waszych „niszczycielem powag“, — dziś jednak, gdy reprezentacya polska w drobnostce tylko jest innego zdania, wy mianem „kłamcy“ stroicie bożyszcze a posła o barwie demokratycznej równacie z żakiem i rózgą mu grozicie. O! stróże narodowi! Wy urągacie Krzymińskim, że na posiedzeniach Koła polskiego świecą nieobecnością, a gdzież się podziała czujność wasza i poczucie obowiązku, gdy patron „Kuryera“ Dr. Komierowski ogłosił publicznie, że od 5 miesięcy nogą nie postał w Berlinie i o ustawie przewrotowej, — o której każdy szewc poznański dysputował, — on poseł narodu nawet prywatnie z nikim nie rozmawiał.

Zasady, etyka, obowiązek — wszystko frazes i pozłota, — wszystko tylko narzędzie do ujęcia ludu w karby lojalizmu i niewolniczego prusofilstwa. Naród wprawdzie od blekotu Kuryerowego z dnia na dzień więcej się odwraca, ale rząd pruski ceni go, pieści i szanuje. Nie wierzycie? Opowiem wam prawdziwe zdarzenie i na życzenie służę nazwiskami:

Pewien redaktor polski odsiadywał w najświeższym czasie karę więzienną za przestępstwo prasowe. Nudziło się w pustej celi skazańcowi, więc prosił prokuratora, by mu pisma polskie czytać pozwolił. Urzędnik wzruszył ramionami i rzekł:

„Ja, aber nur den „Kuryer Poznański“.

Sapienti sat.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

I to recenzya! Recenzye „K u r y e r a P o z n a ń s k i e g o“ zyskały już sobie rozgłos mimowolnej humorystyki w całem dziennikarstwie polskiem. Kwiatek jednak niezwykłej piękności uczczknęliśmy w sprawozdaniu z pierwszego występu pani Leszczyńskiej. Oto wyjątek z poważnej krytyki:

„Witaliśmy wczoraj na naszej scenie gwiazdę — źle mówię: „gwiazdę“ — gwiazdka, gwiazdeczka to raczej ten gość nasz, takie to swojskie, takie „dobrze znajome“, jak ta oto gwiazdeczka, co to iskrzy się nademną na ukochanem niebie polskiem...“

To nic jeszcze, posłuchajmy dalej:

„We własnym jej (aktorki) interesie ośmielilibyśmy się (jaki odważny!) atoli prosić, aby pozwoliła obserwować się z audytoryum o ile możności *en fasse* (?!), oraz z prawego profilu, z lewego zaś co najwyżej w trzy czwarte; zdaje nam się również, że pewne ściągnięcie ust przy śmiechu byłoby korzystnem, choć z drugiej strony nie jesteśmy tak okrutni (poczciwina!), aby wymagać utajenia sznuru ząbków-perełek...“

„Kraj“ petersburski, cytując słowa powyższe, dodaje:

„Ciekawa rzecz, jaką profesyę uprawia p. recenzent: fryzyerstwo czy fotografię?“

* * *

A, no, nareszcie mamy tanie, popularne wydanie utworów Sienkiewicza.

„Bez dogmatu“ kosztuje 1 rs. 50 kop., „Potop“ — 3 rs., „Pójdźmy za nim!“ 4 kop., „Janko muzykant“ — jedną kopiejkę. Dodajemy tylko małe wyjaśnienie, że są to ceny wydań w języku rosyjskim.

Niesłuszną jednak byłoby rzeczą czynić z tego zarzut naszym wydawcom utworów Sienkiewicza. Muszą oni płacić honoraryum autorowi, a więc nie są w stanie tak tanio dostarczyć oryginał, jak tanio wychodzą tłomaczenia. Zdaje się wszakże, że nowe prawodawstwo cywilne w Rosyi, wzbraniając przedruków i tłomaczeń, bez zgody autora resp. wydawcy, pewną równowagę cen przywróci.

* * *

Ważne wydawnictwo ma się wkrótce ukazać w Lipsku w języku rosyjskim, obejmujące obraz stósunków polsko-rosyjskich na Litwie i Białorusi, od czasów wielkorządztwa jenerał-gubernatora Albedyńskiego aż do dni naszych. Praca ta będzie posiadać nietylko doniosłość polityczną, ale także i historyczną. Opierać się bowiem będzie na całym szeregu dokumentów autentycznych, jakoto: praw, rozporządzeń, cyrkularzy, tajnych instrukcyi itd., pochodzących bądź to z kancelaryi jenerał-gubernatorskiej w Wilnie, bądź to z archiwum ministerstwa spraw wewnętrznych i przybocznej kancelaryi carskiej do decyzyi o różnych prośbach i podaniach. Znajdą się w tem wydawnictwie nawet listy jenerał-gubernotorów wileńskich, charakteryzujące poufnie stósunki i usposobienie ludności miejscowej. Szczególniej znajdzie w niej szerokie uwzględnienie stosunek rządu do ludności wiejskiej i wpływ polityki rządowej na usposobienie tej ostatniej. Za oryginałem rosyjskim, który już w tych dniach wyjdzie z pod prasy,

ukażą się wkrótce tłómaczenia w następującym porządku: w języku polskim, francuzkim i niemieckim.

* * *

Piotr Chmielowski poprzedził zbiorowy przekład „Poematów Byrona“, wydany nakładem S. Lewenthala w Warszawie, nader interesującą przedmową. W przedmowie tej poświęca krytyk bardzo pochlebną ocenę tłomaczeniu „Wędrówek Harolda“, dokonanemu przez Jana Kasprowicza, Wielkopolanina. Chmielowski przyznaje Kasprowiczowi „talent znakomity, staranność wielką i umiejętność przejmowania się tonem i nastrojem poetów obcych.“

* * *

Dr. *Zofia Jotejkówna* wygłosiła w Warszawie odczyt: „o potrzebie wiadomości chemicznych dla rólników.“ Licznie zebrana publiczność z największem zajęciem przysłuchiwała się interesującej prelekcyi.

* * *

Pan *Wacław Karczewski* zamieścił w „Kraju“ petersburskim artykuł o T. T. J e ż u, oparty na szczegółach biograficznych, których mu sam autor „Uskoków“ dostarczył, i na literackich z nim pogadankach. Z artykułu tego wyjmujemy ustęp następujący:

„Jeż literatem został, a ktoby się tego spodziewał, z przypadku, z okazyi. Pisywał wprawdzie przygodnie już w latach 1850 i 1851 w Londynie, znalazłszy się jednak dopiero w Konstantynopolu około roku 1857, a zajęcia nie mając żadnego, przesłał redaktorowi „Gazety Warszawskiej“ Lesznowskiemu, ot, na chybił trafił, korespondencyą z nad Bosforu, z propozycyą pisywania ich dalej. List ten, wraz z propozycyą, redaktor „Gazety“ przyjął z podziękowaniem i zapytał autora, jakiego w zamian życzyłby sobie honoraryum. Charakterystyczną, bo malującą człowieka, była odpowiedź Jeża; oto zażądał od listu aż (!!) 5 franków wynagrodzenia, prosząc, aby mu je przesyłano po uzbieraniu pewnej sumki, a i to, jak mnie zapewniał, niesłychanie skromne żądanie stawiał ze strachem, w obawie, ażali zbyt wygórowanych nie domaga się warunków. Jakież tedy było zdziwienie świeżo mianowanego korespondenta „Gazety“, gdy niebawem, z okazyi nowego roku, Lesznowski, oprócz żądanego honoraryum, jako gratyfikacyą „na gwiazdkę“ dorzucił 400 franków od siebie, a nadto zawiadomił poczynającego literata, iż mu w przyszłości za każdy list płacić będzie po 40 fr. Prawda, że pod owe czasy daleko jeszcze było do fin de siecle'u. Później bywało inaczej, w kraju wydawano utwory Jeża, nie pytając się o pozwolenie bodaj au[illegible] ani mu się chociaż niekosztownem „Bóg zapłać“ wywdzięczając za to; pewien zaś anglik, uzyskawszy od niego aprobatę na tłómaczenie „Uskoków“, wydał je jako własne dzieło, zaopatrzywszy je tylko dopiskiem, jako pomocnemi mu były w tworzeniu prace Zygmunta Miłkowskiego“.

Zapytywany przez p. Karczewskiego o dzieję pierwszej powieści, Jeż takich udzielił informacyi:

„To także wypadek, a napisałem ją także w Konstantynopolu. Obracałem się wówczas w kółku młodzieży, między którą i zajmujących się literaturą nie brakło, jak poeci: Karol Brzozowski i Henryk Jabłoński. Otóż pewnego razu opowiadałem im romantyczny epizod z życia licznych w owej epoce na Dobruczy zbiegów od poddaństwa z Ukrainy, a treść opowiadania mego wydała im się doskonałym tematem powieściowym. Żałowali jeno, że jako poeci, do rymów przewykli, niedostatecznie władali prozą, aby się samym zabrać do dzieła. I byłaby sprawa przebrzmiała bez echa, gdyby nie Włodzimierz Kozłowski (brat Zygmunta, posła do Rady państwa), z którym mieszkałem razem, a który jął mnie nalegać, abym sił spróbował. I spróbowałem. Po wykończeniu pierwszego rozdziału odczytałem go Kozłowskiemu, podobał się, kolejno tedy odczytywałem mu następne, aż się powieść skleiła, pod tytułem „Wasyla Hołuba“, drukowana w „Dzienniku Literackim. Kształciłem się specyalnie w naukach matematycznych. jak pan zatem widzi, w gronie literatów znalazłem się niby deus ex machina, przypadkiem — i literatem zostałem.“

* * *

Miałem już nieraz przyjemność, i to prawdziwą, wspomnieć, że się coś psuje w okrzyczanej sumienności naukowej naszych najserdeczniejszych sąsiadów zachodnich. Przyjemność tę sprawię sobie dzisiaj znowu.

Mieszka sobie w Rawiczu pan Fr. (zapewne Franz, a może Fryderyk, o co mniejsza) Hengstenberg. Pan ten jest profeserem w miejscowem gimnazyum, a więc słusznie wymagać można od niego, aby znał historyę. On sam też widocznie jest zdania, że przetrawił gruntownie wiedzę historyczną, kiedy napisał rozprawę, p. t. „Geschichte des Deutschtums in der Provinz Posen vor ihrem ersten Anfall an Preussen“. Rozprawę tę wydrukowano w sprawozdaniu gimnazyalnem z r. 1894, a więc za jej wartość odpowiada nietylko sam autor, ale całe uczone grono nauczycielskie. Rozprawa ta ma mieć również na celu wykształcenie umysłów i podniesienie serc młodzieży niemieckiej, o czem świadczą w tytule wyrazy: „für die deutsche Jugend der Provinz“.

Pomijam już to, iż według p. Hengstenberga, przejście pod panowanie pruskie prowincyi poznańskiej było dobrodziejstwem dla polaków i że mieszkańcy tego kraju niemieckiego pochodzenia przeszli „ze smutnej przeszłości do szczęśliwej teraźniejszości“, ale dowiadujemy się z rozprawy kilku całkiem nowych rzeczy, spotykamy się z wielkiemi odkryciami historycznemi. Oto parę próbek:

„Kraj nad Wartą — twierdzi uczony z Rawicza — był b e z w ą t p i e n i a już raz ziemią germańską“. Wierzymy, bo któżby niemcom nie wierzył, ale pragnęlibyśmy dowodów. Na nieszczęście, p. Hengstenberg ich nie po siada, bo „do połowy X wieku pomroka zakrywa losy tego kraju“ (str. 2).

P o p i e l znaczy tyle, co burzyciel“, C h o ś c i s k o znaczy tyle, co „wędrownik“ objaśnia nas na stronie 4 wielce uczony autor.

Dzięki jego, źródłowym zapewne, badaniom, dowiadujemy się o pomyłkach tak w chronologii jak i w nazwie samego Poznania. Dotychczas sądziliśmy naiwnie, że Poznań nazywał się Poznań i że w roku 1440 panował w Polsce młodziuchny syn Jagiełły, Władysław, który w cztery lata później zginął pod Warną. Tymczasem wszystko [illegible] nieprawda, gdyż pan Hengstenberg wie dok[illegible]nie, iż w r. 1440 król Kazimierz IV przybył do miasta „Deutsch-Posen“ (str. 41).

Po tych próbkach śmiało możemy przypuszczać, iż w p. Hengstenbergu nie zyska nowej gwiazdy niemiecka historyografia, ale za to autor zyska dozgonnego przyjaciela w pustelniku z Friedrichsruhe.“ *B.*

* * *

Na liczne zapytania, z jakich powodów rząd rosyjski odmówił H e l e n i e M o d r z e j e w s k i e j prawa do gościnnych występów w Warszawie i Petersburgu, odpowiadamy, że przyczyną banicyi jest mowa słynnej artystki, wygłoszona na kongresie kobiecym w Chicago. W całości mowy tej dla braku miejsca cytować nie możemy, — powtarzamy jednak ustęp charakterystyczny, który niewątpliwie w pierwszym rzędzie spowodował rozporządzenie banicyjne. Ustęp ten brzmi:

„Kiedy nasi mężowie, zmęczeni wojną i klęskami — rozpaczali i tracili odwagę, kobieta Polka stała jakoby anioł stróż przy drzwiach ich sumienia. Ona ich wzmacniała i pobudzała do poświęcenia życia dla dobra ojczyzny. Ona uczyła swych synów, jak stawić opór nieprzyjaciołom. Ona przechowywała tradycye honoru, patryotyzmu, odwagi i prawości — nie odpoczywając ani na jedną chwilę, lecz z dziwną wytrwałością pomimo kul, kajdanów, Sybiru, a nawet i knuta, którym ją często karano na wieczną hańbę rządu rosyjskiego.

„Nieprzyjaciele nasi niesłychanie mylą się — sądząc, że mogą zniweczyć polski patryotyzm. O tak! mylą się — bo póki będzie żyła jedna Polka — Polska nie zginie! — a im bardziej nas prześladują, tem dla nas lepiej!...

„Kiedy okrutny car Mikołaj prosił sławnego malarza francuzkiego, pana Vernet o namalowanie bitw staczanych z nami artysta odpowiedział mu: Najjaśniejszy Panie, nigdy nie malowałem Chrystusa na krzyżu! I miał zupełną słuszność — Polska została ukrzyżowana przez bezmyślną tłuszczę cara za jego rozkazem. Ale tam — pod krzyżem Chrystusa, klęczała Matka, czekając cierpliwie zmartwychwstania — tak jak dziś klęczy Matka Polka, czekając cierpliwie i modląc się o zmartwychwstanie zamordowanej Polski.. Czyż będzie czekała na wieki? Nie! — jeżeli jest sprawiedliwość na świecie — to daremnie czekać nie będzie“.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Węgierska izba magnatów odrzuciła wszystkie paragrafy dotyczące bezwyznaniowości. Projekt powróci zatem raz jeszcze do izby deputowanych. — Niektóre pisma konserwatywne żądają, aby rząd niemiecki wypracował nowe prawo przeciw socyalistom. „Schles. Ztg.“ domaga się zupełnie otwarcie, aby państwa związkowe zniosły parlament i założyły nową rzeszę bez powszechnego prawa wyborczego. Coraz lepiej! — W Pradze powstało nowe pismo młodoczeskie p. t. „Czeske Noviny“. Organ ten ma współzawodniczyć z staroczeską „Polityką“. — Wydział lekarski wszechnicy Jagiellońskiej przedstawił ministerstwu trzech kandydatów na opróżnioną katedrę oftalmologii: prof. dr. W i c h e r k i e w i c z a z Poznania, prof. dr. B o r y s i k i e w i c z a z Grazu i prof. dr. M a c h o k a ze Lwowa.

Zjazdy i kongresy. Szósty walny zjazd Śpiewaków polskich odbędzie się w Gnieźnie 29 i 30 czerwca oraz 1 lipca. Główne popisy w śpiewie przypadają na niedzielę 30 czerwca. — W Petersburgu odbyła się konferencya producentów lnu.

Teatr i muzyka. Poznańskie towarzystwo dramatyczne udaje się na występy do Gniewkowa, Żnina, Kcyni i Wągrowca. — Warszawski Teatr Mały przystąpił do prób Straussowskiej operetki „Jabuka“. — Jeden z warszawskich księgarzy przygotowuje wydawnictwo nieogłoszonych jeszcze utworów St. Moniuszki. — P. Ruszkowski rozpoczął szereg gościnnych występów na scenie krakowskiej. — Teatr Stanisławowski występuje obecnie w Kołomyi, a następnie udaje się do Krynicy. — Modrzejewska rozpoczyna 15 czerwca szereg gościnnych występów na lwowskiej scenie.

Kursy lekarskie dla kobiet. „Nowoje Wremia“ donosi, że w sobotę w rosyjskiej radzie stanu roztrząsaną była kwestya otwarcia w Petersburgu kursów lekarskich dla kobiet. Rada stanu przyjęła w zasadzie projekt założenia instytutu lekarskiego dla kobiet, podnoszono tylko zarzuty przeciwko szczegółom projektu. Zarzuty dotyczyły wymagania znajomości języka greckiego od kandydatek a także czasu trwania nauki w instytucie. Zamiast projektowanego czteroletniego kursu, postanowiono, że nauka w instytucie trwać będzie 5 lat czyli 10 semestrów. Przy instytucie ma być urządzony internat. Od zapisujących się będzie wymagane pozwolenie rodziców, a względnie męża. Postanowiono także dopuszczać kobiety, posiadające dyplom lekarski, do ekspertyzy sądowej.

Do instytutu mają być przyjmowane kandydatki w wieku od lat 20 do 35. Gmach instytutu ma stanąć w pobliżu szpitala Obuchowskiego i wraz z urządzeniem ma kosztować 224,000 rs. Opłata za prawo słuchania lekcyi ma wynosić 100 rs. rocznie..

Z m a r l i:

Dr. Karol Ludwig, prof. zoologii, zm. w Lipsku 24 kwietnia.

Dr. Karol Lueder, prof. prawa karnego w Erlangen, zm. 24 kwietnia.

Odpowiedzi Redakcyi.

A. Z. Z łaskawie nadesłanych utworów korzystać nie możemy.

S. S. Odpowiedź w sprawie „Jehowy“ znajduje się w Nr. 17.

Mel. Są to pogłoski, których stwierdzić na razie niepodobna. Osoby zwykle dobrze poinformowane wyrażają się dwuznacznie.

A. i B. Skorzystamy przy sposobności. Szczegóły nadesłane rzucają ciekawe światło na krytykę poznańską, lubo należą już do przeszłości.

BIBLIOGRAFIA.

Sprawozdanie z zarządu muzeum narodowego w Rapperswylu za rok 1894. Paryż 1895.

Piotr Chmielowski. Współcześni poeci polscy. Petersburg 1895.

Złote myśli Adama Mickiewicza. Petersburg 1895. Wydanie drugie.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

B. S. z Wrześni 1,00 mr.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 722,50 mr.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli:

B. S. z Wrześni 2,00 mr.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 511,80 mr.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.